

M.B.
Int.
L.W.
w Rodku

- Czy przenieść stolicę Polski?! — str. 2
- Niezwykłe dzieje jednej kariery — str. 4
- Kolejne informacje o więziennym tramwaju — str. 10
- Jak powstał „Doktor Żywago”? — str. 12 i 13
- Brali go za groźnego terrorystę — str. 13



Nr indeksu 36762
PL ISSN 0472-5042

Łódź tygodnik społeczno-kulturalny Odgłosy

NUMER 20 (1520)

ROK XXX

16 MAJA 1987 ROKU

CENA 25 ZŁ

Jakakolwiek zbieżność z faktami i osobami może być tylko przypadkowa, chociaż kto wie, wszystko to mogło się jednak wydarzyć naprawdę. Autor rzecz tę ubrał w formę baśni, a Czytelnik niech sam zdecyduje: prawda to czy bajka?

Sniegowy gang

7

JACEK MACIASZEK



Foto: Grzegorz Galasiński

Gdy Łódź pełniła obowiązki stolicy. Wszystko powoli przenosi się do Warszawy. Nadchodzą lata schematyzmu, ale i niebywalej rozbudowy bazy kulturalnej Łodzi. Październik przynosi ożywienie również w kulturze. Złamanie, zakręty i kryzys.

Bywało różnie, ale awansu miasta trudno nie dostrzec

BOGUSŁAW SUŁKOWSKI

Pierwszy okres najbardziej spontanicznego rozwoju kultury miasta związany był zarówno z naturalną euforią odzyskanej wolności, koniecznością przywrócenia i uporządkowania odzyskanych dóbr kulturowych jak też z podyktowaną przez kaprys historii przejściową okolicznością, iż Łódź pełniła rolę politycznego centrum kraju przez kilka lat. Za naturalne i mające wpływ na trwałą historię miasta uznać trzeba wysiłki odbudowy zburzonych, gmachu i placówek przedwojennej Biblioteki Publicznej (Jan Augustyniak), wysiłek gromadzenia i odzyskiwania zbiorów założonego przed wojną Muzeum Sztuki (Władysław Strzemiński, Katarzyna Kobro, Marian Minich). Do miasta wracali ci muzycy (Wiłkomirscy, R. Izykowski, T. Klesewetter), którzy wyjechali zeń w czasie okupacji, aktorzy, którzy pamiętali dawny Teatr Miejski, znający dawniej Łódź poeci i dziennikarze (Marian Piechal, Stanisław Pięta, Mieczysław Jagoszewski).

W owym pierwszym okresie bardziej znacząca okazała się druga okoliczność: do Łodzi, miasta najbliższego zniszczonej Warszawy, zjeżdżali z Lublina najważniejsze agendy kultury budowanej w nowym kształcie: Jerzy Borejsza ze Spółdzielnią „Czytelnik”, „Czołówka Filmowa”, Teatr Wojska Polskiego z Władysławem Krasnowieckim. Były to ośrodki przyciągające do Łodzi elitę polskiej kultury: pisarzy, intelektualistów, publicystów, aktorów, reżyserów, dziennikarzy.

PO WOJNIE

W latach 1945–1948 w Łodzi ukazywały się wszystkie gazety i czasopisma społeczne oraz kulturalne o zasięgu krajowym, konstituowały się personalnie najważniejsze polskie teatry, rodził się polski przemysł filmowy, w sporach i polemikach powstawały idee socjalistycznej polityki kulturalnej. „Kuznica” i „Myśl Współczesna” były najważniejszymi w kraju pismami ideowymi związanymi z nową władzą, próbującymi wyklądać racje tej władzy na użytek inteligencji.

Kulturalna dynamika miasta z tego okresu dotyczyła przede wszystkim środowisk twórczych, ale tylko środowisk skłonnych włączyć się z lewicą. Dynamika ta była mniejsza w sprawach lokalnego upowszechniania kultury, w Łodzi nie dostrzegano wówczas różnicy między tym co lokalne i tym co ogólnonarodowe. Drukarnie obłożone były przez prasę centralną, w salach teatralnych próbowali przyszłe teatry warszawskie, w domu przy ul. Bandurskiego dyskutowali pisarze wyczekujący na powrót do Warszawy.

Już w połowie tego okresu zaczął się exodus z miasta najważniejszych ludzi kultury. Tuż za politykami i działaczami znajdują w Warszawie schronienie i warsztat pracy aktorzy, publicyści, pisarze. Z Łodzi znikają najpierw poszczególne tytuły wielopartyjnej prasy centralnej, później całe zespoły teatralne.

Przyszłi czas, gdy polityka kulturalna poczyniała tracić ostry charakter, gdy nie zawsze już chciano dyskutować nad nowym kształtem kultury, lecz przeszło się do propagowania jedynego tylko systemu wartości. W końcu 1948 r. Bolesław Bierut zasygnalizował pilną potrzebę podjęcia ofensywy kulturalnej. O ile w sprawach polityki okres międzypartyjnych dyskusji, sporów i spontanicznych przemian zamknął Kongres Zjednoczenia, to w stosunku do kultury, a zwłaszcza do kultury Łodzi granicę, tę wypadnie przesunąć do końca roku 1949. Będzie ona ustalona grubo po zjeździe szczecińskim Związku Literatów Polskich, na którym Stefan Żółkiewski objaśnił wypracowaną w „Kuznicy” metodę realizmu socjalistycznego, zaś Jakub Berman zadekretował tę metodę jako jedyną dla polskich pisarzy.

Do końca roku 1949 o połowę zmalało środowisko pisarzy, dziennikarzy, jeszcze bardziej skurczyły się środowiska muzyków i plastyków. Wiesław Jażdżyński przypuszcza, że zmieniające się wciąż władze lokalne w niedostatecznym stopniu potrafiły przeciwstawić się likwidacji środowisk twórczych. Mówi też o tym zjawisku jako o nieuniknionym rezultacie narastającej centralizacji, co było polityczną dyrektywą władzy tamtego czasu. Tadeusz Chrościelewski zauważa, że nawet gdyby ubyla tylko połowa twórców to z pewnością była to ta „większa połowa” i zauważa, że w wypadku artystów, ludzi wrażliwych łatwy był wyjazd z miasta nie pobudzającego „jaskółczego niepokoju” wyobraźni jak Kraków czy Kazimierz nad Wisłą, z miasta trudnego dla inteligenta.

W miarę jak formułowana w dyskusjach na łamach tygodników polityka kulturalna zostawała przy jednym tylko paradygmacie, artyści poczęli kojarzyć własny intelektualny niepokój i trudności adaptacyjne wobec nowej rzeczywistości właśnie z Łodzią. Konieczność prze-

5

Ogłosy

Adres redakcji:
90-113 Łódź, ul. Henryka
Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny
36-52-44,

sekretarz redakcji,

fotoreporter: 36-80-99,

publicyści: 36-77-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz
Włodkowski.

Zastępca redaktora
naczelnego: Edmund
Lewandowski.

Sekretarz redakcji:
Grażyna Olechnowicz.

Kierownik działu
literackiego: Grzegorz Gazda

Redaktor techniczny:
Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski,
Dariusz Dorczyński,
Eugeniusz Iwanicki, Teresa
Jerzykowska, Andrzej
Karolczak, Roman Kubiak,
Jerzy Kwieciński, Bogda
Madej, Andrzej Makowiecki,
Paweł Tomaszewski,
Jolanta Wronska.

Grafik: Janusz
Szymański Gilanc.
Fotoreporter: Grzegorz
Gałasiński.
Korekta: Mariola Knaga,
Jolanta Sawiuk.
Stałe współpracują:
Tadeusz Białecki,
Bohdan Gadomski, Jacek
Głuchowski, Witold
Kasperkiewicz, Andrzej
Kempa, Marek Koprowski,
Włodzimierz Krzywicki,
Marek Mamos, Zenon
J. Michalski, Ryszard
Nakonieczny, Adam
Ochocki, Jerzy Panaszewicz,
Karol J. Strzyński, Maciej
Świerkocki, Witold Werner.

Wydawca: Łódzkie Wydawnic-
two Prasowe RSW „Prasa”
— Książka — Ruch” 91-103 Łódź
ul. Sienkiewicza 3/5

DRUK: Prasowe Zakłady Gra-
ficzne RSW „Prasa — Książka
— Ruch” Łódź ul. Armii Czer-
wonej 28

Redakcja nie zwraca nie za-
mówionych rekwizytów i zastrze-
ga sobie prawo do skrótów

Warunki prenumeraty: 1. Dla
Instytucji i zakładów pracy —
zlokalizowane w miastach wojew-
ódzkich i pozostałych miastach
w których znajdują się siedziby
Oddziałów RSW „Prasa —
Książka — Ruch” zamawiają
prenumeratę w tych oddziałach —
Instytucji i zakłady pracy
zlokalizowane w miejscowościach
gdzie nie ma Oddziałów RSW
„Prasa — Książka — Ruch” o-
płacają prenumeratę w urzędach
pocztowych i u doręczycieli 2.
Dla indywidualnych prenumera-
torów — osoby fizyczne zamiesz-
kałe na wsi i w miejscowościach
gdzie nie ma oddziałów RSW
„Prasa — Książka — Ruch” o-
płacają prenumeratę w urzędach
pocztowych i u doręczycieli 3.
Dla osób fizycznych zamieszka-
nych w miastach — siedzibach
Oddziałów RSW „Prasa — Książ-
ka — Ruch” opłacają prenumera-
tę wyłącznie w urzędach pocztowych
nadawczo-oddawczych
właściwych dla miejsca zamiesz-
kania prenumeratora Wnioskę do-
konuje się używając blankietu
„wpłaty” na rachunek bankowy
miejscowego Oddziału RSW
„Prasa — Książka — Ruch” 3.
Prenumeratę ze zleceniem wysyłki
za granicę przyjmuje RSW
„Prasa — Książka — Ruch”
Centrala Kolportażu Prasy i
Wydawnictw ul. Towarowa 28
00-958 Warszawa konto NBP XV
Oddział w Warszawie nr 1153-
201045 139-11 Prenumeratę ze
zleceniem wysyłki za granicę
poczta zwykła jest droższa od
prenumeraty krajowej o 50 proc
dla zleceń nadawców indywidual-
nych i o 100 proc dla zlecają-
cych Instytucji i zakładów pra-
cy Terminy przyjmowania pre-
numeraty na kraj i za granicę —
do dnia 10 listopada na I
kwartał i półrocze roku następ-
nego oraz cały rok następny —
do dnia 1 każdego miesiąca —
poprzedzającego okres prenume-
raty roku bieżącego

Zam. 1412. H-2

Przegląd prasy

Wbrew przyjętym założeniom
nie dokonaliśmy redukcji i mo-
dyfikacji centrum gospodarcze-
go. W ostatnich latach liczba
ministerstw, komitetów Rady
Ministrów i pracowników za-
trudnionych w centralnych or-
ganach władzy nawet zwiększy-
ła się. Przez to reforma ekono-
miczna nie ma szans. Tak u-
waża i głosi profesor Józef
Kaleta, który ostatnio udzielił
wywiadu Wiesławowi Kozyrze
z tygodnika społeczno-gospo-
darczego „WYBRZEŻE” (nr 19).

W obecnym systemie prze-
grywają przedsiębiorstwa efek-
tywne i oszczędne, a nagradza-
ne są najgorsze i rozrzutne. Z
tych względów zużywamy trzy-
krotnie więcej węgla na jedno-
stkę dochodu narodowego niż
inne kraje. Straty spowodowa-
ne złą jakością produkcji do-
chodzą już do 900 miliardów
złotych rocznie.

Niektórzy przedstawiciele ad-
ministracji centralnej i dorad-
cy rządowi usiłują dowiedzieć, że
reformy nie udało się wdrożyć
z powodu złej sytuacji gospo-
darczej i braku równowagi
rynku oraz niskiej świadomo-
ści ekonomicznej społeczeń-
stwa. Natomiast prof. Kaleta
z takimi argumentami

NIE ZGADZA SIĘ

„Twierdzenie, że reforma gos-
podarcza będzie możliwa, jeśli
zyskamy najpierw równowa-
gę gospodarczą — mówi — jest
absurdalne. Nie ma bowiem
żadnych szans na przywrócenie
równowagi gospodarczej w sy-
stemie centralistycznego kie-
rowania gospodarką. To ten cen-
tralistyczny system jest kry-
zysowy, sprzyja marnotrawstwu,
ukrywaniu rezerw, nieoszczęd-
nym formom produkcji. (...) Po-
drugie — nie można czekać na
wyedukowanie ekonomiczne
społeczeństwa. Na to, że kie-
dyś, w odległej przyszłości, spo-
łeczeństwo dorosnie do reformy.
Jeśli będziemy czekać, to przy
wadliwym systemie funkcyjono-
wania gospodarki nie tylko nie
dojdziemy do edukacji ekono-
micznej, ale przeciwnie — do
demoralizacji, frustracji, apatii.
Objawy tego już mamy. To sa-
mo dotyczy tezy, że jesteśmy
społeczeństwem anarchizującym,
niezdyscyplinowanym, nie-
dojrzałym, niezdolnym do roz-
sądnego działania. To jest spo-
sób usprawiedliwiania się biu-
rokratów. Nic więcej.”

Józef Kaleta podkreśla, że nie
można pytać przegrodnie spo-
tkanych ludzi, jaki ma być sy-
stem funkcjonowania gospodar-
ki. Są to bowiem sprawy nie-
zwykle skomplikowane, i mu-
szą decydować fachowcy, wy-
bitni specjaliści. Nie pytamy
przecież ludzi z ulicy o sku-
teczne metody leczenia raka.

Istnieje obawa, że reforma
doprowadzi do obniżenia sto-
py życiowej. Co na to prof. Ka-
leta? Jego zdaniem, nie ma ta-
kiego niebezpieczeństwa. Trzeba
tylko działać w sposób konse-
kwentny i zerwać ze starym
myśleniem. Zasadniczej zmiany
wymaga struktura naszej gos-
podarki, która w okresie 5 lat
nie poprawiła się, lecz pogor-
szyła. Przemysł drobny daje u
nas zaledwie 5 proc. dochodu
narodowego, podczas gdy w
NRD 10 proc., a w krajach wy-
soko rozwiniętych 30-40 pro-
cent.

Powinniśmy wykorzystać do-
świadczenia innych państw. Na
przykład w Grecji szybko roz-
wiązano problem budownictwa
mieszkaniowego. Nie było mie-
szkań, materiałów i wykonaw-
ców. Zwolniono więc na 10 lat
przedsiębiorstwa budowlane z
podatku. Efekt był taki, że w
ciągu 7 lat Grecja wywindowa-
ła się na drugie miejsce w Eu-
ropie. Podobnie też postąpił
Hiszpania. A my w imię spraw-
liwości dawamy inicjatywę i
przedsiębiorczość.

Na pytanie dziennikarza — co
przeszkadza w ożywieniu pol-
skiej gospodarki? — prof. Jó-
zef Kaleta odpowiada: „Pow-
tórzyć po raz któryś: główną
przeszkodą są struktury cen-
tralne w gospodarce i niektórzy
ludzie zajmujący kierownicze
stanowiska. Bez redukcji tego

aparatu, bez zmiany ludzi, nie
da się niczego osiągnąć.”

Na zakończenie ekonomista
wrocławski akcentuje, że nie
pomogą żadne działania wycin-
kowe, których przykładem jest
atestacja i przegląd struktur.
Przegląd będzie raczej służył
utrwaleniu istniejących struk-
tur niż ich zmianom.

PRZENIEŚĆ STOLICĘ POLSKI?

Wielu ekspertów wyraża
przekonanie, że centrum wla-
dzy samo, dobrowolnie się nie
zreformuje. Specjalista w dzie-
linie organizacji i zarządzania,
prof. Andrzej K. Koźmiński,
w rozmowie z Piotrem Alek-
sandrowiczem — „PRZEGŁĄD
TYGODNIOWY” (nr 19) — mó-
wi: „Zawsze powtarzam, że
każda organizacja funkcjonuje
tak źle, jak to jest tylko mo-
żliwe i usprawnia się dopiero
wówczas, kiedy powstaną wa-
runki zmuszające ją do tego.”

Z kolei prof. Jan Mujżel po-
wiedział Agnieszce Ostapowicz
z „DZIENNIKA ŁÓDZKIEGO”
(nr 105), że radykalna reforma
jest przedsięwzięciem bolesnym
dla władzających. Dlaczego?
„Ona wymaga — czytamy —
samoograniczenia się od wla-
dzy, zrezygnowania z wielu ce-
nionych przez aparat władzy
form kontroli nad ludźmi, do-
brami. To niezwykle trudny dla
władzy proces. Nic dziwnego,
że napotyka twarzą, jak uczy
doświadczenie, inteligentnie
przeprowadzony opór aparatu,
który doskonale wie, że refor-
ma jest w znacznej mierze
wymierzona w jego interesy.
Przynajmniej krótkookresowe.
Bo w długookresowe chyba
nie.”

Centrum władzy to kilkadzie-
siąt bardzo ważnych instytucji
i kilkadziesiąt tysięcy zatrud-
nionych w nich ludzi. Jeśli ta
centralna biurokracja w stolicy
kraju uniemożliwi przeprowa-
dzenie reformy, to może prze-
nieść stolicę w inne miejsce.
Warszawa przestanie wtedy być
Waszyngtonem, ale wciąż będzie
polskim Nowym Jorkiem. Z ta-
ką propozycją wystąpił w „ZY-
CIU LITERACKIM” (nr 19) fi-
lozof krakowski prof. Józef Li-
piec. Zaleca jej rozważenie w
przypadku, gdy zawiodą inne
środki.

„Gdzie usytuować nową sto-
licę? Można rozważyć powrót
do tradycji: wczesnopiastow-
skiej — z Gnieznem (z opo-
zycją w Kruszwicy), albo piast-
owskiej i jagiellońskiej — czyli
mocarstwowej — w Krakowie.
Z większych miast najbliż-
szą Krakowi jest Łódź. A
może należałoby zbudować za-
pełnie nowe, niezbyt obszerne
miasto o charakterze stołecznym
z założeniami i przeznaczenia? O-
sobliwie nie miałbym nic prze-
ciwnego przekazaniu funkcji sto-
licy Poznaniowi, pomijając
względnie pragmatyczne (gospo-
darność, rzetelność i uprzej-
mość poznaniaków są war-
tości). Koszt całego przedsię-
wzięcia byłby relatywnie nie-
wielki. Należałoby go liczyć w
procentach od zysków z calo-
ściowo ujmowanej reformy gos-
podarzo-politycznej. Reforma
Centrum jest jej fragmentem,
ale na tyle ważnym, iż bez niej
żaden z etapów (licząc od
pierwszego) nie może zakoń-
czyć się sukcesem. Istotną zaś
sprawą jest perspektywa rozwo-
ju całej Polski, a nie niena-
ręczalność pozycji tego czy in-
nego grodu i struktury jego
ambitnych warstw.”

Józef Lipiec przypomina, że
car Piotr Wielki nie wahał się
wybudować nowej stolicy w ra-
mach reform ogólnokrajowych.
A później Włodzimierz Lenin
przeniósł centrum porowolucyj-
nego państwa z Petersburga
do prowincjonalnej Moskwy.
Obecnie zaś Waszyngton, Otta-
wa i Bonn nie pretendują do
roli gigantów metropolitalnych
— są tylko miastami politycz-
nymi, w których podstawowe
elity stale wymieniają się.

ZA PRZENIESIENIEM STOLICY

wypowiedział się też nieco wcze-
śniej — w rozmowie z Piotrem
Grochmaliskim w tygodniku po-
znańskim „WPROST” (nr 18) —
socjolog, członek Rady Konsul-
tacyjnej przy Przewodniczącym
Rady Państwa, prof. Zbigniew
Wierzbicki. Zaproponował on

przeniesienie stolicy Polski z
Warszawy do Poznania.

Zdaniem prof. Wierzbickiego
w Polsce istnieją jakby dwa
narody: zachodniopolski (Pomo-
rze, Wielkopolska i Śląsk) oraz
wschodnio- i centralnopolski.
Obie zbiorowości mają odręb-
ne systemy wartości. Przyszłość
kraju zależy być może od tego,
który z nich się upoważni.
Społeczeństwo wielkopolskie do
dziś sprawia wrażenie „zadba-
nego zachodnioeuropejskiego,
najsilniej zintegrowanego spo-
śród innych regionów kraju”.

Warto tu przypomnieć, że
projekt przeniesienia stolicy (do
Krakowa) zgłosił jeszcze wcze-
śniej w „ZYCIU LITERACKIM”
(nr 50 z 1983 roku) prof. Alek-
sander Krawczuk. Lecz była
to propozycja żartobliwa. Obec-
ny minister kultury i sztuki
przedstawił historyczne zalety
Krakowa i Krakowiaków. W
czasach krakowskich o losach
Polski decydowały światła szla-
chta średniozamożna i patrycjat
miejski, a w okresie warszaw-
skim do głosu doszła „ciemna,
uboga, prymitywna szlachta
mazowiecka, wiedzona na pa-
sku przez wielkich magnatów
kresów. To zaznaczało się co-
raz silniej z każdym pokoleniem
— aż po Targowicę. Liczył się
nie interes państwa, nie dobro
całości, lecz ambicja i majątek
rodów magnackich. Gdyby sto-
lica pozostała w Krakowie...
Może losy nie potoczyłyby się
tak tragicznie. Może.”

Nie Krakowiacy sprowadzili
Krzyżaków. Oni robili wszyst-
ko, żeby ich wypęczyć z ziem
polskich. Oni też są autorami
unii z Litwą, choć nie mogli
znać jej negatywnych następstw.
W okresie krakowskim rozwój
Polski był pomyślny. Natomiast
z chwilą przeniesie-
nia stolicy do Warszawy przez
króla Zygmunta III zaczęła się
choroba naszego państwa. Jeśli
więc z Krakowem mamy tak
dobre wspomnienia — pisał
Aleksander Krawczuk — to
„uczynmy z Krakowa znowu
stolicę duchową i kulturalną
całej Polski”.

Na łamy naszej prasy znowu
wrócił problem twórczości Zb-
gniewa Nienackiego. W księ-
garniach pojawiła się bowiem
i szybko zniknęła nowa powieść
— drukowana po raz pierwszy
w „Ogłosach” — pt. „Wielki
las”. Tym razem książkę Nie-
nackiego wydał Państwowy In-
stytut Wydawniczy, czyli zasłu-
żona i renomowana oficyna.

KRYTYCY MAJĄ PROBLEM

czy jest to powieść pornogra-
ficzna, czy nie. Kazimierz Koź-
niowski pisze w ostatniej „PO-
LITYCE” (nr 19) — mało czy-
telny z powodu fatalnego dru-
ku, że w „Wielkim lesie” nie-
wiele jest seksu, że mamy do
czynienia ze skrzyżowaniem
bardzo dobrego „Pana Samo-
chodzika” z pornograficznymi
„Skirolawkami” i w sumie u-
rodził się tylko „rachityczny
zagajnik”. Chwali Koźniowski
jedynie przepiękne opisy lasu.
Na temat „Wielkiego lasu”
aż dwie recenzje zamieściła
„TRYBUNA LUDU” (nr 107) i
to w sobotnio-niedzielnym wy-
daniu. Jerzy A. Salecki zatytu-
łował swój tekst symptomaty-
cznie: „Chucie leśnych ludzi”.
Przeżył on książkę tak do-
kładnie, że podaje strony, na
których pojawiają się słowa i
fragmenty związane z życiem
seksualnym. Najnowsza powieść
Nienackiego uważa za złą i
szkodliwą, ale przewiduje, że
szybko zniknie z półek księgar-
skich.

Zupełnie inaczej natomiast o-
cenia „Wielki las” Michał Mi-
siorny. Jego zdaniem, otrzyma-
liśmy ambitną powieść o praw-
dziwej miłości między ludźmi,
a nie figurami retorycznymi.
Radzi pisarzowi, żeby nie prze-
mawiał się złośliwymi reakcjami
krytyków i nieśluszną opinią
pornografa. Literatura erotycz-
na ma długą tradycję — od in-
dyjskiej „Kamasutry” i biblij-
nej „Pieśni nad pieśniami” po
dzieła Joyce’a, Millera i innych.

E. L.

NA WŁASNY RACHUNEK

Ostatnie zapory

Do najsilniej zakorzenionych (nie tylko u nas) stereotypów my-
ślenia politycznego należy upatrywanie wrogów w naciągach i pa-
stwach ościennych, a w konsekwencji poszukiwanie przyjaciół
w rejonach odleglejszych. A przecież na zdrowy rozum korzy-
stniej jest wspomagać się wzajemnie z sojusznikiem zza miedzy,
oznacza to bowiem min. bezpieczne granice.

Ale taki już był, niejako naturalny, błąd historii przez nie ko-
ńczące się stulecia, kierujący ekspansję terytorialną ku zaokrągla-
niu własnych posiadłości kosztem najbliższego sąsiada, częściej
chyba niż przez mariaże i inne układy dynastyczne. W efekcie
nawarstwiały się pokoleniami i wiekami uprzedzenia do sąsiadów.
Zasługujących, jeśli nie na całkowite wytepienie, to przynajmniej na
to, by zaprowadzić u nich porządek dla ich własnego dobra. Miał
bowiem i chlubnie jest zabijać i podbić innych, kiedy się ma
przeświadczenie o własnej wyższości moralnej czy cywilizacyj-
nej, toteż, jak sądzę, niemiecka armia nie była jedyną, której żoł-
nierze mieli wypisane na pasach „Bóg z nami”.

Przekonanie, że sąsiad może być naturalnym partnerem i kom-
batantem wspólnej sprawy zaczęło w społeczeństwach kielkować
chyba stosunkowo niedawno, kiedy ruchy społecznie postępowe
zaczęły rozpoznawać przyjaciół ponad granicami państwowymi
oraz barierami językowymi i religijnymi, na zasadzie ideowego
powsinowactwa, wyrażającego się w hasle: „Za naszą i waszą
wolność”. W tym też nurcie przemian mentalności dążenia naro-
dowo-wyzwoleńcze skryształowały się ostatecznie we współczes-
nym internacjonalizmie i nie bez racji nazywa się ten rewolu-
cyjny przełom narodzinami nowej ery we współżyciu narodów,
mając zresztą na myśli raczej ideowe przesłanki niż rzeczy-
wiste spełnienia.

Po pierwsze bowiem — naszym globem, podzielonym anta-
gonistycznie, wstrząsają sprzeczności nierównomiernego rozwoju
ekonomicznego państw świata, a po drugie — nawet między
krajami idącymi, jak to się mówi, tą samą drogą rewolucyjnego
rozwoju, wzajemne stosunki, choć przyjacielskie i sojusznicze,
bywają podminowane napięciami różnej natury.

U nas zresztą dokonał się wśród realistycznie myślących oby-
wateli, kierujących się polską racją stanu, dość radykalny odwrót
od tradycyjnej niechęci do sąsiednich państw (i do wszystkich),
pod wpływem doświadczeń ostatniej wojny, która wykazała do-
wodnie, iż sojusznik odległy jest mało skuteczny w niesieniu po-
mocy, a ponadto, że powinowactwo ideowe stanowi coraz silniej-
sze spoiwo wszechstronnej współzależności państw, co wcale nie
znaczy, iż odmiennostwo ustrojowe musi uniemożliwiać pokojowe
współżycie.

Kto pilnie śledzi rozwój stosunków polsko-radzieckich i zdaje
sobie sprawę z ich znaczenia dla bytu obecnego państwa pol-
skiego, ten uświadamia sobie, że na utrzymujących się jeszcze,
zastarzałych animozjach pomiędzy oboma narodami ciąży nie wy-
jaśnione do końca, bądź, w imię wyższych sojuszniczych racji
przemilczane z powodów taktycznych, zdarzenia przykre i boles-
ne, niekiedy krwawe.

Nieufność wobec władz obcego państwa może mieć podłoże ra-
cjonalne, ale niechęć do obcego społeczeństwa jest, moim zdaniem,
zawsze niesłuszna, ponieważ nie do przyjęcia jest odpowiedzial-
ność zbiorowa jednego narodu wobec drugiego. Nie uważam np.
za sprawiedliwe, żeby jakiś Ukraińiec odczuwał wobec mnie jako
Polaka niechęć, dlatego, że w przedwojennej Polsce dokonywano
aktów okrutnego bezprawia pod nazwą „Pacyfikacji Wschodniej
Galicji”, ale zdaje sobie sprawę, że każde społeczeństwo, jako ca-
łość, jest mało podatne na racje rozumowe.

Oprócz tych „zaszłości” można było też odczuwać z niechęcią,
że procesy demokratyzacji życia w Polsce, są przyjmowane nie-
ufnie przez kierownictwo gremiów, czy nawet szersze koła społe-
czne Kraju Rad, holdujące polityce wewnętrznej, również gospodar-
czej, autorytatywnie ustalonej i opornej na reformy.

Ciekaw jestem (bo to bardzo dla Polski ważne), jak wielu na-
szych obywateli jest świadomych przełomowego znaczenia współ-
nego stanowiska, zajętego przez kierownictwa partyjne obu kra-
jów w czasie niedawnej wizyty Włodzimierza Jaruzelskiego w Mo-
skwie, w sprawie zarówno wyjaśniania „białych plam” i tematów
dotyczących „tabu” w historii stosunków polsko-radzieckich, jak
i zacieśnienia współdziałania na polu ideologicznym. A stało się
to możliwe dzięki obraniu kursu na demokratyzację socjalizmu
w obu naszych państwach.

Są to decyzje doniosłe, które, jestem przekonany, muszą przy-
spieszyć usuwaniu wszelkich zapór i zahamowań w rozwoju pozy-
tywnych nastrojów polskiego społeczeństwa wobec zaprzyjaźnio-
nego kraju. Takiego obrotu sprawy wielu z nas (przynajmniej)
nie spodziewało się w najbliższych oczekiwaniach.

JERZY KWIECIŃSKI

W najbliższych numerach „Ogłosów”

— Paryż przypomina miasto w stanie oblężenia. Na mos-
tach prowadzących na dwie uroczyste wysepki na Sek-
wanie aż czarno od mundurów policyjnych. Pistolety
automatyczne, opancerzone wozy bojowe... — kores-
pondencja MARKA BRZEZIŃSKIEGO ze stolicy
Francji.

— Fragmenty najnowszej sztuki MICHAŁA SZATRO-
WA pt. „Pokój brzeski”. Informację o jej publikacji
w ZSRR podały wszystkie światowe agencje. Wystę-
pują znane postacie historyczne: Lenin, Stalin, Trocki,
Bucharin, Swierdłow, Kollataj, Łomow, Dzierżyński,
Postać główną dramatu jest Włodzimierz Lenin.

— O stanie łódzkich kin oraz najbardziej i najmniej ka-
sowych filmach ubiegłego roku pisze MAREK KO-
PROWSKI.

— Zaskakująco rozciągliwy szylid stanowi fundusz prze-
ciwialkoholowy. Tak rozciągliwy, że musi powstać py-
tanie: po co to wszystko? Jakże są rezultaty tego sta-
nu rzeczy? — odpowiada JOLANTA WRÓŃSKA.

— Jeden z sądów angielskich wymyślił test, według któ-
rego dzieło jest pornograficzne, gdy powoduje erek-
cję u siedmiu spośród dwunastu normalnych męż-
czyzn. Czym jest pornografia? — wyjaśnia doc. dr
hab. MARIAN FILAR, z którym rozmawia TOMASZ
KUBIK.

Poprzedni, XX Kongres Techników Polskich odbył się w Łodzi i ożo-
mówi się o nim „lódzki”. Uwa-
żnie przysłuchiwałam się dyskusji
na tym Kongresie i pamiętam, że
wówczas z rozmysłem, ale i pasją,
i zaangażowaniem technicy i inżynierowie wy-
powiadali się za reformą gospodarczą. Wręcz
się domagali. Czy teraz — na XXI Kongre-
sie Techników Polskich, który odbył się w
gdańskiej hali „Oliwii”, technicy byli się za-
angażowani w realizację pierwszego etapu reformy?

— Nie. A dlatego nie, że nie wykorzystano pre-
rogatyw, jakie były w założeniach do pierwsze-
go etapu reformy, bo zbyt dużo utworzono róż-
nych „furtok”, działano niekonsekwentnie, pod-
dawano się naciskom centrum i naciskom róż-
nych lobbów. Również dlatego, że niektórych za-
łożeń nie sprawdzono się w praktyce do końca.
I nie bardzo wiadomo, jak powinny wyglądać.
Toteż, gdy przyszło do dyskusji nad tezami do
drugiego etapu reformy, padały takie uwagi,
że hasła owszem, są interesujące, potrzebne i
słuszne, ale najważniejszy będzie sposób ich
realizacji. Jak wykazała praktyka pierwszego e-
tapu — wiele pozostawia on do życzenia.

— Należy zatem rozumieć, że XXI Kongres
Techników Polskich odniósł się też do założeń
drugiego etapu reformy gospodarczej?

— Oczywiście. Środowisko, które dysponuje
tak dużym potencjałem intelektualnym techni-
ków i inżynierów, nie mogło nie odnieść się
do założeń drugiego etapu reformy. Jesteśmy
organizatorami pracy i produkcji. W produkcji
nikt nie jest w stanie zastąpić technika czy
inżyniera. Delegaci byli świadomi tej prawdy.
Jak również i tego, że nasze środowisko decy-
dować będzie o postępie technicznym. Mając
tę świadomość nie mogliśmy nie wypowiedzieć
się również w sprawach drugiego etapu re-
formy gospodarczej.

— Jakże problemy budziły szczególne zain-
teresowanie?

— Było ich wiele, ale myślę, że za najwa-
żniejszy trzeba uznać dążenie do uzyskania
konkurencyjności naszych wyrobów na świato-
wych rynkach. Technicy i inżynierowie ogra-
nioną rolę przywiązują do roli eksportu, uważa-
ją eksport za dźwignię całej gospodarki. Bez
rozwijania eksportu nie może być mowy o po-
stępie.

— I bez rozwijania eksportu nie może być
mowy o spłaceniu długów.

— Takie też było zdanie delegatów na XXI
Kongres Techników Polskich. Wprawdzie eks-
port do krajów socjalistycznych wzrósł o 8
procent, a import z tej strefy tylko o 5 procent,
to przecież nasze zadłużenie wynosi nadal 33
miliardy dolarów USA, a zadłużenie w rublach
rosyjskich się do 6,5 miliarda rubli.

— Taka sytuacja kłępi wiele przedsię-
wzięć, uniemożliwia im bowiem utrzymanie
techniki i technologii na odpowiednim pozo-
mnie.

— Utrzymujące się zadłużenie zmusiło do
zabłokowania rachunków odpisów dewizowych,
a przejście na system kont majątkowych spro-
wadziło salda przedsiębiorstw niemal do zera.
Przedsiębiorstwa potrzebują dewiz na części
zamienne i różnego rodzaju komponenty, mate-
riale czy artykuły techniczne, na zakup których
nie ma arcytu. Rwa się więc między kooperacyj-
ną. Zatrzymuje to rozwój gospodarki.

— Zanim dalej rozważałybyśmy poszczegól-
ne problemy, jakie były przedmiotem obrad
techników polskich, chciałabym zapytać o o-
gólny stosunek do założeń drugiego etapu re-
formy gospodarczej?

— Kongres Techników Polskich obraduje co
5 lat. Obecny — naszym zdaniem — nie zo-
stał w pełni wykorzystany dla zebrania opinii
o drugim etapie reformy. Przed wszystkim
tezy ukazały się zbyt późno, na kilka niemal
dni przed Kongresem. Nie było więc czasu na
dokładne ich przeanalizowanie i wyrażenie na-
szego stosunku. Niemniej jednak prezes NOT —
profesor Jan Kaczmarek w swoim programo-
wym referacie odniósł się do tego drugiego etapu
reformy. Stwierdził, że tezy po części dają nam
satisfakcję, gdyż wiele naszych propozycji uw-
zględniono, część jednak naszych propozycji i
poglądów została zniekształcona i będziemy
spierali się o rację tych opinii czy propozycji,
jak też zamierzamy przeciwstawić się niektórym.

Mowa była również o tym w czwartym zes-
pole, który zajmował się systemowymi uwa-
runkowaniami rozwoju. Uważano na przykład,
że w niektórych sformułowaniach nastąpiło
cofnięcie się w stosunku do wcześniejszych u-
staień.

— Do czego to odnosił?

— Między innymi do sposobu dzielenia a-
mortyzacji, która naszym zdaniem — a uchwałał
to również Sejm — powinna pozostać w
przedsiębiorstwie, co jest zgodne z ideą samo-
finansowania się. Jest to tym bardziej samo-
finansowe, jeśli zważy się na postępującą dekapitali-
zację wielu przedsiębiorstw. Również do sposo-
bu tworzenia cen, które nie mogą opierać się
na kosztach, gdyż powstałaby taka zależność:
im wyższe koszty, tym wyższe ceny i tym wię-
kszy zysk i odwrotnie — obniżenie kosztów,
na czym nam przecież powinno zależeć, powo-
duje obniżanie cen i zysku. Taka zależność
hamowałaby postępek techniczny.

— Dyskusja nad założeniami drugiego etapu
reformy gospodarczej nie kończy się jeszcze.

— Toteż na Kongresie dopiero ją rozpocze-
liśmy. Teraz poszczególne stowarzyszenia NOT
będą zajmowały się tymi zagadnieniami szcze-
gółowo.

— Czy to nie doprowadzi do partykularyz-
mu?

— Takie niebezpieczeństwo występuje. Już
w czasie obrad w gdańskiej „Oliwii” dał się
zauważyć „egocentryzm branżowy”. Tego ty-
pu forum jakim jest Kongres Techników Pol-
skich, powinno skłaniać raczej do rozwiązań
kompleksowych, do widzenia problemów danej
branży w kontekście całej gospodarki, ale
były przypadki, kiedy uważano, że problemy
branży stanowią pepek gospodarki.

— Trudno byłoby jednak zaprzeczyć, że są
takie dziedziny techniki i gospodarki, które
decydują o postępie i rozwoju innych dzie-
dzin, a nawet całej gospodarki. Mam na my-
śli chemię. Do mojej wyobraźni przemawia
postulat chemików, którzy domagali się aby
wzorem dawnych lat i wzorem innych kra-
jów rozwój chemii wyprzedzał rozwój całej
gospodarki. Czy to byłby przejaw partykulary-
zmu branżowego? Przecież chemia decyduje o
poziomie farmakologii, rolnictwa, budownic-

stwa i wielu innych dziedzin?

— W naszej gospodarce — mówiąc obrazo-
wo — jest wiele luk i dziur. Każdy więc, kto
widzi takie luki i dziury, ma jakąś rację. Ale
suma tych racji nie stwarza żadnej racji. Trze-
ba zatem koncentrować uwagę na sprawach
wymagających rozwiązania w pierwszej kolej-
ności. Wiadomo na przykład, że rozwiązania
wymaga problem wyżywienia narodu. Jeśli te-
go nie rozwiążemy, to nie wyjdziemy z kry-
zysu. Innym takim ważnym zagadnieniem jest
oszczędzanie energii. Albo będziemy niemiej-
nie gospodarować, albo trzeba będzie budo-
wać nowe kopalnie i elektrownie. A to nie
jest i nie będzie takie proste. Podobnie wy-
gląda sprawa budownictwa mieszkaniowego.
Musimy zatem koncentrować uwagę na spra-
wach najważniejszych, nie możemy się roz-
praszać. Musimy również zapewnić właściwą
organizację, która sprzyjałaby rozwiązaniu
tych spraw najważniejszych. Zwracano na
przykład uwagę, że reorganizacji wymaga cen-

— I co ono ma to? Ma jakiś program? Pró-
bowano coś zmieniać?

— Ma program. Próbowano. Była już o tym
mowa na XX Kongresie Techników Polskich
w Łodzi.

— I co się zmieniło? Nic?

— Tak sprawy ująć nie można. Zmieniło się,
choć mało.

— Kto lub co temu przeszkadza?

— Najczęściej ludzie, którzy o tym decydu-
ją na co dzień i to weale nie gdzieś tam w
górze, ale często właśnie w przedsiębiorstwie.

— Z naszej dotychczasowej rozmowy można
wyciągnąć dwa wnioski: pierwszy — że tech-
nicy i inżynierowie stanowią dużą siłę tak in-
tektualną, jak i organizacyjną, drugi — że
mają wprawdzie pomysły i różne propozycje
rozwiązań, ale nie mogą ich wprowadzić w
życie. Dlaczego? Kto temu przeszkadza?

— Wpływa na to spłót wielu różnych uwa-
runkowań i sytuacji. Będą to: ludzie i ich
przekonywanie, przepisy, uwarunkowania ze-

1,65 do 1. W 1984 roku stosunek ten wynosił
0,8 do 1. Teraz sytuacja się poprawiła i jest
1,12 do 1.

— Ale to jest — skoro już rozmawiamy o
proporcji plac — połowa tego, co zamierzano
osiągnąć w pierwszym etapie regulacji plac.
Celem miał być stosunek 1,44 do 1.

— To i tak będzie to gorszy stosunek niż był
w latach pięćdziesiątych. Rozmawiałam nieda-
wno z docentem politologiem, który ma brata
inżyniera. Otóż stosunek ich zarobków wynosił:
1 do 2. Z tym tylko, że brat inżynier nie u-
jawnił w miejscu pracy swego dyplomu i pra-
cując jako robotnik wykwalifikowany.

— Nie jest to, niestety, wypadek odosobnio-
ny. Coraz więcej mamy takich przypadków,
kiedy inżynierowie chowają dyplomy i pracu-
ją jako robotnicy wykwalifikowani. Ale na
XXI Kongresie Techników Polskich nie uzna-
liśmy tematu plac za najważniejszy. Chcieli-
śmy przede wszystkim skupić uwagę delegatów
na problemach merytorycznych. Nie znaczy to
weale, że nie doceniamy lub lekceważymy ten
problem. Jest on istotny, ale nie może prze-
słaniać innych. W dyskusjach nad placami e-
mocy najczęściej przesłaniają rzeczowość.

— To prawda. Ale czy wadliwy system plac
nie wytrąca spośród techników i inżynierów
najwartościowszych jednostek, a przez to nie zu-
baża i hamuje postępek techniczny? Taka za-
leżność daje się zaobserwować w społecznych
odczynach. Byłam świadkiem, jak kilku mło-
dych ludzi oglądało nowoczesny zachodni sa-
mochód i jeden z nich powiedział, że miły cze-
goś takiego nie zbudujemy i za 200 lat. Bardziej
niebezpiecznym to pesymizm.

— Kolejny z przemysłu motoryzacyjnego po-
wiedzieli, że są w stanie wiele zrobić, ale...
Podobno „Wars” weale nie był taki zły.

— Jednak trwają rozmowy na temat kupna
licencji.

— Tak. Kupujemy licencje, bo jednocześnie
jostawiamy oprzyrządowanie, którego nie po-
trafilibyśmy sami zrobić, bo to albo skala nie
była, albo dokładność niewłaściwa i tak dalej.

— Nie jestem specjalistą z tej dziedziny, więc
wolałabym się autorytatywnie nie wypowiadać.
Tym bardziej, że odchodzimy od problemów
Kongresu, a wchodzimy w ocenę stanu gos-
podarki.

— Czy Kongres mógł pominąć stan gos-
podarki? Jej stan wiąże się z postępek techni-
cznym. A o tym była mowa.

— Owszem, tak. Pozwól sobie w tym miej-
scu zacytować jedno zdanie z referatu profes-
ora Jana Kaczmarka: „W obiegowej opinii o
postępie technicznym uważa się, iż zależy on
tylko od aktywności wynalazczej”.

— A czy tak nie jest?

— Właśnie prezes Jan Kaczmarek próbował
udowodnić, że tak nie jest, bo zależy to nie
tylko od ilości wynalazków. Jeżeli poziom zgło-
szonych wynalazków i wzorów użytkowych z
roku 1979 uważamy za szczytowy, to w 1986 ro-
ku poziom zgłoszonych patentów osiągnął ten
stan, a w dziedzinie wzorów użytkowych prze-
kroczył go o 10 procent. Wiele z tych wynal-
azków i wzorów użytkowych powstało w
przedsiębiorstwach produkcyjnych. Tu jest naj-
wyższa dynamika rozwoju wynalazków.

— Brzmi to przekonująco i optymistycz-
nie. Ale jakoś efektów nie widać w praktyce.

— Bo też udział nowych wyrobów i tech-
nologii w skali roku zwiększa się o 2-3
procenty.

— Co to znaczy? Jak to przełożyć na bar-
dziej zrozumiale dla laika wnioski?

— Przy takim tempie wprowadzania nowych
wyrobów i technologii odnowienie całkowite
produkowanych obecnie wyrobów nastąpiłoby
za 30-50 lat.

— Nie zapytałam, co jest tego przyczyną, gdyż
mówiliśmy już o pochwale przeciętności.

— Pewne nadziewe wiążemy z uchwałą Ra-
dy Ministrów nr 53 z 6 kwietnia 1987 roku,
która dotyczy specjalizacji zawodowej inży-
nierów. Mówiąc prościej bierze ona w ochro-
nę dobrych specjalistów. Do tej pory zdarzało
się, że dobry inżynier awansował w górę, od-
chodził od zawodu i stawał się nie zawsze na-
lepszym administratorem. Ta uchwała daje mu
możliwość awansu poziomu. Podobnie in-
nym specjalistom, na przykład dobrym tech-
nikom. Liczymy też na atestację i wartościowa-
nie pracy. Jeśli zrobi się to dobrze, powin-
ny być pozytywne efekty.

— Coś jakby odrobina optymizmu.

— Optymizm zawiera się nie tylko w tym.
Świadomość naszych niedociągłości, braków,
wad, pomyłek, uwarunkowań, potrzeb i za-
leżności zmusza do szukania różnych sposobów
rozwiązania tego wszystkiego, aby postępek stał
się faktem. Innej drogi nie ma.

— Proszę się nie gniewać o pytanie, które
teraz zadam. Ale czy takie kongresy techni-
ków i inżynierów co 5 lat nie przypominają
trochę dużych spotkań towarzyskich, na któ-
rych się pogada, poplotkuje i mało z tego po-
żytku?

— Nie widzę powodu do obrazy. Każdy, po-
dobnie zjazd można — patrząc z boku — tak
potraktować. Ale jest to widzenie powierzchow-
ne. Nie przeczę, że jest to okazja do spotka-
nia znajomych i kolegów, którzy pracują gdzieś
w Polsce, i to jest potrzebne. Ale jest to rów-
nież demonstracja potencjału intelektualnego
polskich techników i inżynierów. Ten poten-
cjał ujawnia się w pracy przygotowawczej i
pokongresowej, nie tylko na samym Kongre-
sie. Zresztą Kongres wniosł o to, „aby stowa-
rzenia naukowo-techniczne Federacji NOT,
ich ciała i organy były traktowane jako kom-
petentny, prawie uznany konsultant w podej-
mowaniu ważnych decyzji gospodarczych ogól-
nokrajowych, regionalnych, jak i zakłado-
wych”.

— Rozumiem, żyćce zatem podważenia w re-
alizacji waszych postanowień, uchwał i postu-
latów, bo pożytek z tego będzie dla wszystkich.

Eksport dźwignią gospodarki. NOT nie do końca aprobuje założenia dru-
giego etapu reformy gospodarczej. Co to jest „egocentryzm branżowy”? Czy
chemicy myślą partykularnie? Nie umiemy korzystać z transportu. Czy Polskę
stać na własny samochód? Kto i co przeszkadza w uwalnieniu gospo-
darki?

Bariera przeciętności

Rozmowa z przewodniczącym Rady Wojewódzkiej Federacji
Stowarzyszeń Naukowo-Technicznych Naczelnej Organizacji
Technicznej — KSAWERYM KRASSOWSKIM

trum, gdyż do tej pory reforma gospodarcza
jest realizowana w przedsiębiorstwach, a za-
tem w najniższych ogniwach, nie ruszyła na-
tomiasz ogniu nadziednych, czyli centrum.

— Sprawa wyżywienia narodu wiąże się je-
nak z chemią. Chemia wpływa na wydajność
w rolnictwie.

— Też wpływa. Otóż na Kongresie Techni-
ków Polskich powiedziano, że postępek, jaki się
ostatnio dokonał w rolnictwie był wynikiem
sprzyjających warunków atmosferycznych, a
nie zmian strukturalnych w gospodarce żywno-
ściowej. Owe zmiany strukturalne to jednak
coś więcej niż tylko dostateczne zapatrzenie w
nawozy sztuczne, to również melioracja, ma-
szyny, sprzęt, spożywczy i przetwórczy, cha-
dnie i tak dalej. To również odnosi się do e-
nergetyki czy budownictwa. Chodzi mi tu —
żeby sprawa była dopowiedziana do końca —
o powiązania danej dziedziny gospodarki z
innymi, z całością gospodarki, bo bez tego nie
rozwiązemy żadnego problemu.

— Jeśli na gospodarce, a więc i na techni-
ce, patrzy się kompleksowo, widząc wzajemne
powiązania i zależności, to wówczas łatwiej
można dostrzec słabsze i ważniejsze miejsca.
Od ich rozwiązania zależy postępek całości.

— Właśnie o to chodzi. Na przykład, gdy na
gospodarkę patrzy się kompleksowo, gdy widzi
się jej współzależność, to wówczas okazuje
się, że jest ona — może to brzydko ter-
min, ale nie ma innego — niebywale trans-
portochłonna.

— Czy chodzi o to, że nasz transport czę-
sto wozu powietrze?

— Nie tylko o to. Przede wszystkim o to, że
wozimy po Polsce różne rzeczy bez składu i
ładu, a zatem niepotrzebnie. Skutek jest taki,
że narzekamy na niewydolność kolei, na braki
transportu, na jego powolność, a nie do-
strzegamy, że to w dużej mierze od nas za-
leży.

— Od nas, to znaczy od kogo?

— Od ludzi, którzy działają w gospodarce.

— Jest przecież stowarzyszenie NOT, które
powinno się tym zajmować?

— Jest. Nazywa się Stowarzyszeniem Inży-
nierów i Techników Komunikacji.



Foto: Grzegorz Galasiński

Rozmawiała:
BOGDA MADEJ

Spotkałem go na posiedzeniu Rejonowej Komisji Historycznej Ruchu Młodzieżowego, gdzie posiedłem raczej z obowiązku niż z ciekawości. Złocił mi zadane pochwytanie byłych działaczy nad postawą dzisiejszej młodzieży. Mimo że spotkanie nie odstawało od schematu tego typu imprez: wręczono sobie medale, wygłoszono referaty i gratulacyjne mowy, oceniono prężność ciała, ponarzekano, pogadano, by w końcu rozjeść się z pocutem dobrze spełnionego obowiązku, to jednak Czesław Kuliński przykuł moją uwagę od samego początku.

Nie pasował do grona elegancko ubranych starszych panów w swym zniszczonym i nieodprasowanym garniturze i koszu, która była modna dobrych kilkanaście lat temu. Odbierałem go jako element chaosu, niepokój i dysharmonii w tym zbiorowisku zasłużonych budowniczych socjalizmu.

Wyglądał mi na starego wyjadacza z podmiejskich dzielnic, kompana wielu nocy spędzonych wśród tomaszowskiej ferajny. Później okazało się, że instynktownie odkryłem dużą część prawdy o Czesławie Kulińskim.

Na spotkaniu mówił o Młodzieżowym Wyścigu Pracy z lat 1945-48. Rzeczowo i ciekawie. W jego wystąpieniu było wszystko: Jerzy Kortan, który pod wpływem broszury o ZSRU i w „wyniku własnych przemyśleń” zaczął propagować współzawodnictwo pracy, złośliwe określenie „wyścigowcy” przyklejone uczestnikom wyścigu przez starych fachowców, którzy na rzecz patrzyli początkowo z dużym zgorznięciem i obawą przed nadmiernym wyrubowaniem norm, zegarek od Bolesława Bieruty dla zwycięzcy rywalizacji, kupon materiału na piasek, który również był nagrodą nie do pogardzenia, gazetka ścienna „Bylskawica”, trudność z podsumowaniem i porównywaniem rywalizacji między poszczególnymi branżami. Na koniec powiedział coś, co mnie szczególnie zapadło.

Otóż jedną z form Młodzieżowego Wyścigu Pracy było tworzenie młodzieżowych sal pracy. Taką salą powstała w fabryce, która nazywała się dawniej „Landsberg, Bornstein i Kiers” (obecnie Zakłady Przemysłu Włókiennego „Mazovia”). W uznaniu za osiągnięcie wyniki produkcyjne sali nadano imię Bolesława Bieruty. W rewanżu młodzież za własne pieniądze i własnymi siłami wykonała obraz (dwa i pół metra na półtora metra) olejny portret prezydenta. Zapytano go: „Bierut w otoczeniu młodzieży”. Kuliński zapewniał, że portret powinien leżeć do dziś na śtychu jednego z budynków „Mazovii”.

Postanowiłem odnaleźć ten portret, ludzi i historię z nim związaną. Chciałem ich zapytać dlaczego właściwie to zrobili? Kuliński obiecał mi pomoc. Dokrymiał słowa. Długo razem tropiliśmy ludzi i plóno. Aż przyszedł moment, kiedy zrozumiałem, że nie jest to już dla mnie takie ważne.

2.

Czesław Kuliński mówi pełnymi okragłymi zdaniem, w których daje się jednak wyczuć czasem kalke zwrotów zapożyczonych z książki. Za dużo jak na mój gust w jego ustach „walki klasowej”, „materializmu”, „rewolucyjnego rozwoju”, „socializmu” i „kapitalistycznego wyzysku”.

Jest trudnym rozmówcą i ciągle odnosi wrażenie, że coś przekadza nam w akcie porozumienia się. Czasem próbuje usprawiedliwić go, że to może ja nie potrafię słuchać, że chce tylko potwierdzenia mych własnych wyobrażeń o tamtych czasach. Nasze rozmowy przypominały trochę pojedynkę dwóch średniowiecznych rycerzy, którzy spod zamkniętych przyłbic swych hełmów mogą obserwować tylko wąski wycinek turniejowej areny.

3.

Urodził się w roku 1929. Wychował go Rolandówka — kiedyś podmiejska dzielnica drewnianych bud ustawionych wokół fabryki tekstyliów i chodników. Fabryka w latach tłustych zapewniała mieszkającym tam ludziom pracę i chleb, w chudych zaś była przez nich wyklinana.

Dzielnica egzystowała trochę na uboczu miasta i w pewnej do niego opozycji. Rządziła się własnymi prawami a w Tomaszu mówiło, że z tymi z Rolandówki lepiej nie zaczynać. Kuliński napisał gdzieś, że tu rodziła się jego „klasowa świadomość”. Na jego miejscu byłbym ostrożniejszy w podobnych „formulowaniach”. Bo ktoś uczony w marksizmie mógłby mnie zapytać, czy Rolandówka nie była bliższa świadomości lumpenproletariacka. Mogłoby jeszcze spytać jak podobne dzieciństwo i młodość może determinować całe przyszłe życie.

Ojciec Czesława Kulińskiego, „trochę socjalista” najczęściej zaś bezrobotny, został w czasie drugiej wojny aresztowany i wywieziony do Niemiec. Po dwóch próbach ucieczki ginie w obozie karnym bez wieści. Kuliński dziś nie wie, kiedy i gdzie ojciec został pochowany.

Gdy do Tomasza wjeżdżał pierwszy radziecki czołg, Kuliński miał już za sobą dwa lata pracy w byłej niemieckiej „Fabryce Dwa-nów i Chodników A. Müller”, skończone 15 lat i 5 klas szkoły powszechnej. Pozostał w fabryce, ale za namową kolegów ojca kończy (nie przerywając pracy) podstawówkę. W roku 1947 jest już członkiem PPS i OM TUR, gdzie wybrano go na przewodniczącego koła zakładowego.

Z natury jest żywiołowy, czynny i ochoczy. Ciekawy nowego, tym bardziej, że nowe stwarza nieoczekiwane możliwości. Pełno go wszędzie: na zebraniach, wiecach, w pochodach i na potancówkach. Wstępuje do ORMO, działa w związku zawodowym włókiennarzy, sięga się wraz z innymi pracując na krosnach. Przerabia „elementarz” nowego ustroju.

Po Kongresie Zjednoczeniowym wstępuje do PZPR i ZMP.

Ktoś to w końcu dostrzega. Komitet Miejski PZPR kieruje Czesława Kulińskiego do pracy w zarządzie oddziału związku zawodowego włókiennarzy na stanowisko instruktora do spraw młodzieży. Pierwszy „umysłowy etap”. Od tam pójść już łatwo. Ambicja i robotnicze pochodzenie, które jeszcze tak niedawno kępowało ruchy nieczym stalowe buty, wystarczają by kolo historii zaczęło pracować nieczym ciągnąc w górę szybkobieżną windę.

Kolejne swanse: Zarząd Miejski ZMP — kierownik Wydziału Agitacji i Propagandy, Łódź — półroczna szkoła partyjna, Tomaszów — kierownik Wydziału Propagandy Partyjnej KM PZPR, Łódź — przewodniczący Zarządu Powiatowego ZMP.

Stop. Zatrzymajmy na chwilę winę. Jest rok 1951.

4.

Czesław Kuliński pracuje w Łowiczu. Powiat wizytuje Władysław Matwin, ówczesny przewodniczący ZMP. Gratuluje mu żywiołowości, chwali, że nareszcie udało się ten powiat „rozbujać”.

A przecież teren nie był łatwy. Łowicz i okolice niechętnie przyjmowały nowe porządki. Okręg jeszcze przed wojną znany był z bogactw tradycji kulturalnych, samorządności wiejskiej, niezłej kultury rolnej. Bardzo dobrą markę ma Liceum Pedagogiczne. W gminach spotyka się wsie mające po dwie szkoły.

Działając tu i uznane „Wici” niebył ochotczy popierały ideę zjednoczenia ruchu młodzieżowego. Trudno taki powiat „rozbujać”. Tym

Z Rolandówki w Tomaszowie Mazowieckim w świat i z powrotem do Rolandówki, czyli dzieje jednej kariery.

Gdy koła historii poruszały szybkobieżną windę

ANDRZEJ MIEDZIŃSKI

bardziej, że Kuliński — jak sam przyznaje — na wsi nie znalazł się nic a nic. O krosnach, przędzy czy maszynach mógł od biedy rozmawiać, ale nie o siewie, ziarnie czy orce.

Pomógł mu fakt przynależności. Niezły śpiewał. Zaczął od kultury, od zespołów regionalnych. Kiedy wszedł w to środowisko dalej już jakoś poszło. Poza tym imponował wiejskim chłopcom i dziewczętom tym, że pochodził z miasta, że otarł się o wielki świat.

ZMP był bardzo ważną organizacją. Opinię o ZMP wymagano wszędzie. Ze się opinia łatwo można było oblać maturę, należało sobie wybrać z głowy studia czy dobrą pracę w fabryce.

Okazało się także, iż jego robotnicze pochodzenie i niezamiatany wai pomagają raczej niż przeszkadzają. Nie miał zahamowań, nie przeżywał rozterek, gdy należało zrobić coś inaczej niż nakazywał to przekazywany z ojca na syna zwyczaj. Zresztą wtedy pierwszą zasadą młodego zetempowca był bunt wobec starszego pokolenia.

Czesław Kuliński znalazł głód, patrzył na wieś oczyma mieszczańskim jakiegoś chleba. Był cięty na kulaków i „opornych” w dostawach obowiązkowych. Bez skrupułów organizował przymusowe omloty. Zbiierał grupę kilkunastu chłopów, członków ZMP. Jedyną o czym musiał pamiętać, to aby byli oni z dość odległych wsi. Zabierał ze sobą maszynę, milicjanta, który trzymał się jednak na uboczu i referenta od obowiązkowych dostaw. Wiedzieli wcześniej, ile mogą wymóc z chłopa, ile potrwa młocka. Wchodzili do stodół, uruchamiali maszynę, zabierali chłopów i szło na skup i po krzyku.

5.

Wróćmy jednak do naszej windy. W roku 1952 trafił do Łodzi. Był kierownikiem Wydziału Młodzieży Wielejskiej Zarządu Wojewódzkiego ZMP, potem Grudziądz — przeszkolenie dla oficerów politycznych. Brak matury sprawił, że z wojska wyszedł tylko w stopniu chorążego. I wreszcie Warszawa — instruktor Wydziału Młodzieży Wielejskiej Zarządu Głównego ZMP.

Dostał służbowe mieszkanie, mógł korzystać ze sklepów za złotymi firankami, specjalnej służby zdrowia, służbowego samochodu. Miał żonę, dziecko i dużą jak na owe czasy pensję. Kierownikiem wydziału, w którym pracuje Czesław Kuliński był wtedy Stanisław Kania. Nie ukończył jeszcze 25 lat i jak na kłacz z Rolandówki zaszedł bardzo daleko. Ale mechanizm windy wynoszącej go w górę zaczął jakby szwankować.

W porównaniu do poprzedniego okresu, kie-

dy awansował co kilka lub kilkanaście miesięcy, następowała stabilizacja. Obrata w doświadczenia. Wizytuje powiaty. Jako gość z centralnych władz ZMP. Coraz lepiej poznaje wieś. Zajmuje się przede wszystkim państwowymi Ośrodkami Maszynowymi. Niewielu przewodniczących organizacji młodzieżowych w powiatach potrafił go teraz oszukać.

Jedził także sprawdzać niepokojące sygnały z terenu. Nie sam oczywiście, zawsze jechał z nim ktoś znaczący. Bywało, że ten ktoś reprezentował najwyższe władze partyjne czy państwowe. Przy okazji zobaczył sprawy, o których nie miał pojęcia.

Weźmy chociażby taki „piętnasty pionierski zaciąg młodzieży robotniczej do PGR-ów” na Ziemię Odzyskaną. Zgodnie z radzieckimi doświadczeniami młodzież z miast miała zawieźć na wieś trochę rewolucyjnego ducha, a przy okazji zagospodarować te tereny. Był na przykład w Olsztynie. Został połączony do kolan i nie sprzątnięty owies na polach. Nie było czym zebrać plonu. Stary przeciwiejący barak, gdzie wszyscy spali na kupie. Chłopcy i dziewczęta. Członkowie zaciągu mieli po 17-19 lat. Ro-

do Sochaczewa. Miał kandydować na III Zjazd PZPR. Znow nabierał pewności siebie.

7.

I popełnia pierwszy poważny błąd w swoim życiu. Wrócił z terenu. Był pijany. Wszedł do restauracji „Malinka” w Sochaczewie. Należy pamiętać, że nadal był młody i pełen temperamentu. Na niewłaściwe zachowanie zwrócił mu uwagę szeregowy milicjant. Kuliński twierdził, że nigdy przed nikim nie uciekał na wiejskich zabawach tanecznych. Tym razem wyjął z kieszeni służbowy pistolet i położył go bez słowa na stole.

Milicjant wyszedł a knajpy a zaraz potem Czesław Kuliński wyładował w areszcie. Wyjechał nazajutrz, ale na zjazd pojechał jako inny.

Otrzymał jeszcze jedną szansę. W Komitecie Wojewódzkim w Warszawie wyjaśniono mu, że jest zdolny, ale aby mógł w pełni rozwiniąć skrzydła musi skończyć szkołę średnią.

Wyładował w Katowicach w Technikum Ekonomicznym, które stworzono specjalnie, aby aktywni partyjni i urzędnicy państwowi mogli uzupełnić wykształcenie. Dostał wysokie stypendium na czas nauki, ponad trzy tysiące złotych. Nie miał więc powodów do zmartwień. Znow ocalał się o wielkie nazwiska. W szkole pojawiał się często Edward Gierek i Franciszek Szlachet. Słuchacze mieli dostęp do Biuletynów Specjalnych i tajnych informacji. Szkołę ukończył w roku 1952.

Odbiła się rozmowa w Komitecie Wojewódzkim w Warszawie. Edward Babuch zaproponował mu stanowisko I sekretarza w nowo tworzonej powiecie. Czesław Kuliński nie chciał. Miał dość wędrówek po kraju. Skończył 23 lata i był ojcem czterech synów. Przyswyczał się do życia bez materialnych kłopotów. W mieszkaniu stał telewizor „Wawel”, składał na samochód.

— Dajcie mi zarobić, mogę pracować w handlu — odpowiedział.

Był to drugi poważny błąd w jego życiu. Został kierownikiem Wydziału Handlu w Powiatowej Radzie Narodowej w Sochaczewie. Krótko pełnił tę ostatnią znaczącą funkcję w swoim życiu. Został zamieszany w dużą aferę pieniężną. Dwóch spośród jedenastu radnych, którzy prowadzili prywatne maszyni, zarzucono mu prowadzenie łapówki w wysokości 2,5 tys. złotych. Dostał wyrok w zawieszeniu. Odwołał się. Tymczasem zmienił się sekretarz Komitetu Powiatowego PZPR w Sochaczewie. Nowy go nie znał. Nie uwiarył mu. Sędzia był bardziej surowy. Utrzymano wyrok, ale już bez zawieszenia. Poszedł do więzienia. Spędził w nim 18 miesięcy — całość otrzymanej kary. Wyrzucono go z partii. Odeszła od niego żona.

8.

Koło historii, które wcześniej napędzało windę, wciągnęło go w swe tryby. Teraz on plał swoją cenę za „historyczny rozwój”. Nie sprawdził się na nowym jego etapie. Nie potrafił ustrzec się niebezpieczeństw i pokus, jakie daje poczucie władzy. Dlaczego przegrał? Może za dużo pił? Zbyt pobieżnie przeczytał broszurę o socjalistycznej praworządności? Był nieuczciwy? Za szybko kupił telewizor „Wawel”? Nie wiem. Nie potrafię odpowiedzieć na te pytania.

W roku 1965 wyszedł z więzienia i wrócił do Tomasza. Znow był robotnikiem. Małe awanse i zwyczajne życie, tym trudniejsze, że wiele osób pamiętało kim był niedawno. Był na wozie i pod wozem. Nie stronił od alkoholu. W roku 1984 odszedł na rentę inwalidzką. Pracę zawodową ukończył jako kierownik działu administracyjno-gospodarczego fabryki, gdzie przed czterdziestoma laty zaczynał.

9.

Wrócił na Rolandówkę. Do podobnej budy, w jakiej mieszkał przed wojną. Do małej oficyny zbudowanej z trzciny, wapna i desek. Ale dziś Rolandówka jest dzielnicą, w zabudowie której dominuje okazała willa z tuczo-nym szkieletem na elewacji. Czesław Kuliński mówi, że Rolandówka straciła swój charakter.

Mieszka z matką mającą 85 lat. Żona pozostała w Sochaczewie, choć rozwodu nie mają do dziś. Listonosz co miesiąc przynosi mu niecałe 10 tysięcy renty.

Nie wstydił się swojego życiorysu. Mówi o wszystkim bez ogródek.

— Nie mogę kłamać czy zmieniać się jak kurek na wietrze. Do „Solidarności” nie poszedłem, choć powiedzieli mi, że albo się do nich zapiszę, albo przestanę być kierownikiem. Spośród wszystkich działaczy ruchu robotniczego nadal najbardziej ceni Józefa Stalina. Kiedy ten umarł, namówił zaprzyjaźnionego kościelnego z łowickiego powiatu, aby był w dzwony.

Nie wstydił się swojego życiorysu, choć wstydił się warunków w jakich żyje. Jest bardzo skrupulatny, kiedy wchodzi do jego mieszkania. Tłumaczy mi, że tym właśnie niedawno odpadł, a dziury w swetrze ma tylko dlatego, iż stał się „życiowym abnegatem”.

Na stole pośród masła i cukru, pośród książek, gazet, teczek z dokumentami stoi coś w rodzaju dużego biurowego kalendarza. Zapisuje tam sprawy, które powinien załatwić. Ma też tygodniowy rozkład zajęć. Poniedziałek — „pisanie historii”, wtorek — „pisanie wspomnień”, środa — „pisanie dziennika”, czwartek — „pisanie pism urzędowych”. I tak dalej.

Nie wierzę w ten rozkład zajęć, choć Czesław Kuliński pisze bardzo dużo. Wertowałem opasłe teczkę z kartkami pokrytymi różnym pismem: „Tezy do historii OM TUR w Tomaszowie”, „w czterdziestą rocznicę Młodzieżowego Wyścigu Pracy”, „kilka refleksji o mojej działalności w ruchu młodzieżowym”. Są protokoły z zebrania samorządu osiedlowego, w którym działa.



Foto: Grzegorz Galasiński

(Trzecia nagroda w konkursie zorganizowanym przez Zarząd Oddziału SD PRL w Łodzi i redakcję tygodnika „Odgłosy” pod hasłem: „W środku Polski, w środku życia”).

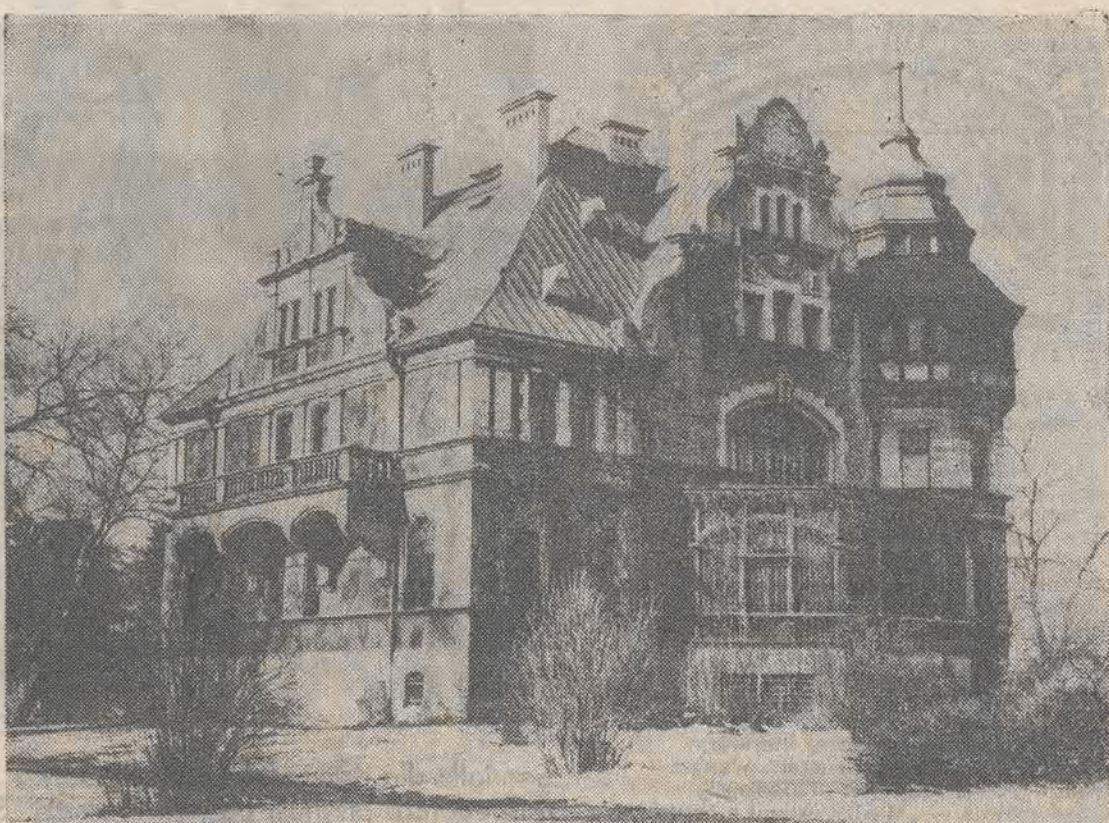


Foto: Grzegorz Gulański

Bywało różnie, ale awansu miasta trudno nie dostrzec

ze str. 1

wartościowania postawy zapewne stawała się mniej kategoryczna, gdy skojarzyła się z nadzieją na zmianę środowiska i miejsca zamieszkania. Łódź odegrała fundamentalną rolę w okresie kształtowania nowej polityki kulturalnej i w procesie rozwoju nowych elit inteligentnych. I miasto zapłaciło cenę za ów wkład w kulturę ogólnonarodową. Twórcy emigrujący wówczas z Łodzi dzisiaj zapewne już wiedzą, że zwłaszcza pierwsze lata były jednak czasem otwartych sporów, entuzjazmu odbudowy i nadziei rewolucyjnej. Powstały pierwsze książki o wojnie, Leon Schiller stworzył nowy teatr, zaczęli pisać poeci, tworzyć muzycy. Napisali swe znaczące dzieła Zofia Nałkowska, Pola Gojawiczyńska, Adolf Rudnicki, Seweryna Szmagłewska, Grzegorz Timofiejew.

Wreszcie jednak ulicę Główną nazwano aleją Stalina, łódzkie teatry, muzea, a nawet świetlice zaczęły programować i kadrowo kontrolować z Warszawy za pomocą centralnych zarządów. Łódź, która dopiero przystępowała do odbudowy własnej, lokalnej infrastruktury kulturalnej, wystartowała w okresie niezbyt szczęśliwym, w niektórych dziedzinach następne sześć lat okazało się okresem stagnacji, a nawet czasem ponoszenia strat.

Schematyzm programowy boleśnie dotknął repertuar łódzkich teatrów, powikłania kadrowe zredukowały jeszcze bardziej środowisko dziennikarskie — w mieście ukazywały się tylko dwie gazety, wobec kilkumiesięcznych tytułów przed wojną i całego bogactwa tytułów z lat 1945—1949. Na lat kilka powstał zaskakujący obyczaj zbiorowego pisywania w redakcjach lub w Związku Literatów recenzji z książek i z przedstawień, recenzji nie autoryzowanych przez recenzentów. Z jednego z trzech w Europie muzeów sztuki współczesnej wycofano galerię „sztuki burżuazyjnej” (przed wojną nazywaną „szukłą bolszewicką”) i przekreślono szansę kariery polskiego konstruktoryzmu w czasie, kiedy była ona jeszcze możliwa. Katarzyna Kobro zarabowała belferką. Zniszczono aranżację wnętrza sali muzealnej projektu Władysława Strzemińskiego, podobnie uczyniono z freskami jego projektu w kawiarni Egzotyka. Nie wiem, ile książek nie napisano, ile obrazów nie namalowano.

Ogólnie można powiedzieć, że sześć lat schematyzmu w kulturze Łodzi w inny sposób zaciążyło nad twórczością i środowiskami twórczymi, inaczej objawiło się w sferze upowszechniania kultury i budowy materialnej bazy instytucji kultury. Bowiem właśnie wte-

dy rozwijano łódzkie zespoły aktorskie, ogromnie rozwinęła się sieć publicznych i przyzakładowych bibliotek, rozwinęła się świetlica i klubów fabrycznych, które w owym czasie obok funkcji propagandowych były istotnymi instrumentami oświaty dorosłych. Osiągnięto znaczne wyniki w kształtowaniu wśród robotników nawyków bywania w teatrze, w bibliotece. Za sposób nobilitacji uznano kontakty z muzyką, w owych latach filharmonia miała najwięcej słuchaczy na koncertach. Przede wszystkim jednak potrafiło w tym najtrudniejszym okresie rozbudować łódzki ośrodek filmowy do tego stopnia, że powstała wówczas baza materialna na trwałe określiła dominujące miejsce Łodzi w polskiej produkcji filmowej.

PO PAŹDZIERNIKU

Polityczna odwilż roku 1956 poprzedzona była w kulturze łódzkiej takimi symptomami, jak próba odbudowy periodyku literackiego, kontynuowanie efemerycznych numerów „Łódzi literackiej” jako „Kroniki”, czy powrót na sceny dramatu romantycznego (jeszcze nie Mickiewicz, ale Schillerowsy „Zbójcy”). Październik przywrócił ulicę Główną jej historyczną nazwę, łódzkiemu teatrom przywrócił wielu twórców i fachowców, wróciło do zawodu wielu dziennikarzy. Odtworzono „Express Ilustrowany”, Upadła „Kronika”, ale po kilku latach pojawiły się „Odgłosy”.

Niedawni realiści z Wiesławem Garbolskim i Jerzym Krawczykiem zorganizowali ekspozycję „Ośmiu modernistów”. Wraz z centralnymi zarządami zlikwidowano centralne programowanie klubów i bibliotek. Obumarło wiele świetlic zakładowych, ale rozwój bibliotek nawet się przyspieszył. Muzeum Sztuki wydobyło z magazynu swe najcenniejsze zbiory, także by pokazać je Europie. Biblioteki udostępniły prohibita. W twórczości literackiej i plastycznej przestał obowiązywać tylko socrealizm. W plastyce łódzkiej pojawiły się nawiązania już nie tyle do atakowanego w latach pięćdziesiątych unizmu i konstruktoryzmu, co do abstrakcji i wielu nowinek z Paryża. Pojawiły się sceny studenckie.

Młody zespół Teatru Nowego, wadzący się niegdyś z mistrzem Leonem Schillerem o zasady socrealizmu („Brygada Szlifierza Karhana”), teraz doświadczył przełomu ideowego i wykorzystał do tego celu cały dorobek dojrzałego warsztatu artystycznego. Spektakle takie jak „Święto Winkeldrida” i „Ciemności kryją ziemię” uczyniły z teatru łódzkiego organ kultury narodowej, ujawniła się indywidualność Kazimierza Dejmka. Przy u-

dziale Bolesława Lewickiego powstał ruch filmowych klubów dyskusyjnych. W Łodzi przy wsparciu Aleksandra Kamińskiego reaktywowano harcerstwo polskie.

Produkcja filmów fabularnych, dokumentalnych i animowanych gwałtownie wzrosła. W latach sześćdziesiątych polskie filmy w większości produkowane w Łodzi poczęły odnosić sukcesy na głównych festiwalach międzynarodowych. Pojawiła się telewizja. Powstał Łódzki Ośrodek Telewizyjny.

Nigdy więcej kultura łódzka nie doświadczyła równie gwałtownego przyspieszenia jak w latach 1957—1960, kiedy to trzeba było wyrównywać dysproporcje między upowszechnianiem kultury i twórczością oraz przezwycięzać sztuczne granice dorobku łódzkiej kultury. W początku lat sześćdziesiątych teatr łódzki stracił swą wyjątkową dynamikę i oryginalność, ale wyróżniał się artystyczny poziom wszystkich scen. Potężniała baza kultury miasta, we wszystkich dziedzinach powstawały nowe muzea, z Muzeum Sztuki konkurowało w upowszechnianiu współczesnej plastyki Biuro Wystaw Artystycznych. Przybywało bibliotek, kluby zyskiwały bar dziej komfortowe lokale, rozwijał się ruch amatorski, intelektualnie interesujący w środowiskach studenckich, o wysokim poziomie artystycznym u mecenasów związkowego. Rozwijały się środowiska twórcze, najszybciej plastyczne, najwolniej literackie. Rozwijało się założone po Październiku przez Stanisława Czernika Wydawnictwo Łódzkie. Równocześnie jednak wiele słowarzyń społecznych nie wytrwało w początkowym entuzjazmie i poczęło podlegać biurokratyzacji. Wydarzenia roku 1968 uszyły politykę kulturalną i nasiliły państwowy interwencjonizm w kulturze, zaciążyły raczej w sferze twórczości, wolności twórczych, nastrojów w środowiskach twórczych niż w dziedzinie rozwoju bazy kulturalnej. Po raz pierwszy otworcie postawiono wówczas pytanie o wiarygodność środków masowego przekazu.

LATA SIEDEMDZIESIĄTE

Polityczny i ekonomiczny optymizm początku lat siedemdziesiątych sprzyjał w Łodzi ożywieniu kulturalnemu. Muzeum Wiókiennictwa rozpoczęło Triennale Tkaniny Artystycznej, Muzeum Sztuki otrzymało nowe dary, dzieła sztuki klasyków awangardy. Ośrodek filmowy próbował wprowadzić festiwal filmów: dydaktycznego, naukowego, społeczno-politycznego. Powstał zespół filmowy „Profil”. W połowie lat siedemdziesiątych teatr łódzki znów za sprawą Kazimierza Dejmka stał się przejawem

kultury narodowej, łącząc znaczące intencje światopoglądowe i polityczne z perfekcyjnym artystycznym. Połowa wystawianych wówczas sztuk to prapremiery polskie lub światowe („Operetka”, „Vatylav”, „Fryderyk Wielki”). Ważne sukcesy kultury łódzkiej z lat siedemdziesiątych łączy się z oddaniem jeszcze w roku 1967 drugim w Polsce co do wielkości Teatrem Wielkim. Przyjeżdżano już nie tylko do Teatru Nowego, ale i do Teatru Wielkiego, który tak oto nieoczekiwanie zrealizował ideę Schillerowskiego Teatru Narodowego. W połowie lat siedemdziesiątych podjęto pomysł Spotkań Baletowych, które wkrótce stały się prawdziwym wydarzeniem międzynarodowym. Ożywił się środowisko literackie, obok „Odgłosów” próbowano systematycznie wydawać kwartalnik literacki „Osnowa”. Łódzcy plastycy zaprezentowali się w wielu galeriach Europy, karierę światową poczęli robić młodzi malarze. Rozwinięły ożywiły aktywności kulturalna i klubów inteligencji katolickiej.

W połowie lat siedemdziesiątych ulica Główna stała się aleją Mickiewicza, powstający na pobrzeżach miasta przemysł i budowa nowych osiedli mieszkaniowych były okazją dla pobudowania kilku starannie zaprogramowanych domów kultury z salami kinowymi oraz jednego kina osiedlowego. W publicystyce, w dyskusjach władz miejskich i instancji partyjnej rozwijano plany miejskiego ośrodka kultury z nowo wybudowanymi filharmonią i centrum sztuki współczesnej, rozmyślano też nad kształtem dzielnicowych i osiedlowych centrów kultury. Optymizm budowany był na kruchych podstawach ekonomicznych.

Jest jednak faktem, że w latach bezwzględnych to właśnie połowa lat siedemdziesiątych była okresem szczytowej dynamiki kultury łódzkiej, zarówno z punktu widzenia jej instytucjonalnego bogactwa, aktywności twórczej artystów, jak i z punktu widzenia uczestnictwa w kulturze zwykłych mieszkańców. Nastąpiły istotne przemiany w obyczajowości mieszkańców. Rozwój kultury masowej, upowszechnienie telewizji właściwie dopiero teraz, a pewnym zatem opóźnieniem, zaciążyły na aktywności kulturalnej i wszelkiej rozrywce pozadomowej. Czasu wolnego przybyło nieco, pojawiły się pierwsze wolne soboty, a mieszkańcy jednak rzadziej odwiedzali teatry, filharmonie, kina w roku 1980 niż w roku 1975.

Może nie dramatycznie, znacząco jednak zmniejszała się ilość miejsc w kinach, teatrach. Zmniejszała się też obrotowość i nakłady gazet i czasopism rozprowadzanych w mieście. Statystyka dowodzi, iż ten regres kultury drugiej połowy lat siedemdziesiątych dotyczy także innych miast polskich,

nie był on charakterystyczny tylko dla Łodzi.

DZIEDZICTWO LAT SIEDEMDZIESIĄTYCH

Rozwój kultury miasta nie dokonywał się w trzydziesto- pięcioleciu w jednakowym rytmie, lecz raczej trzema wielkimi skokami. Owo falowanie wyraźnie dotyczyło procesów twórczości i środowisk twórczych niż rozwoju bazy kultury i aktywizacji kulturalnej mieszkańców. Porównanie punktu wyjścia sprzed trzydziestu pięciu lat ze stanem z połowy lat siedemdziesiątych oczywiście poświadcza wielki awans robotniczego miasta.

W końcu lat siedemdziesiątych Łódź, drugie co do wielkości miasto w Polsce była jednym z trzech, czterech największych centrów kulturalnych. Miasto, z którego w końcu lat czterdziestych wyjechała połowa inteligencji tworzącej, skutecznie odbudowało i rozwinęło środowisko twórcze. Mieszkało tu 66 pisarzy, 208 muzyków, ponad 700 plastyków, około 300 architektów. Zamieszkują tu pisarze tej miary co, Wanda Karczewska, Leon Gomoliński, Bernard Sztajner, w latach dobrych pisarzy publikowali ponad 20 książek rocznie. Zamieszkali tu artyści wystawiani w muzeach światowych: Stanisław Fijałkowski, Antoni Starczewski, Leszek Różga, Janina Tworek-Pierzgałska; kompozytorzy liczący się na europejskim rynku kultury: J. Bauer, B. Pietrzak, A. Hundziak. O kulturowej indywidualności i wybitności miasta stanowią m.in. łódzki ośrodek filmowy, prowadzone przez Ryszarda Stanisławskiego Muzeum Sztuki, Muzeum Wiókiennictwa, Teatr Nowy, Teatr Wielki z T. May-Czyżowską, T. Wojtaszek-Kubiak, Andrzejem Sackiem, Izabellą Nawę.

Najbardziej znaczące przeobrażenia dokonały się w dziedzinie upowszechniania kultury. Dziś miasto robotniczo-akademickie ma imponującą sieć bibliotek odwiedzanych przez czytelników, jest tu znaczący ruch amatorski, interesujące inicjatywy upowszechniania sztuki. Powojenna historia miasta wykazuje chyba, że skuteczniej podejmowano tu trud systematycznego poszerzania uczestnictwa mieszkańców w kulturze, mniej zaś skutecznie realizowano gdzie indziej efektywne inicjatywy festiwalu, spotkań twórców, międzynarodowych przeglądów itd. Skale zjawisk światowych osiągnęły Łódzkie Spotkania Baletowe czy Triennale Tkaniny Artystycznej. Jednakże w historycznym centrum polskiego filmu organizuje się festiwale filmowe mniejszego znaczenia i nie są to przeglądy filmów fabularnych. Nie udało się ponadto zwią-

zać z miastem wybitnego zespołu twórców filmowych (w owym czasie w „Silesii” tworzyli K. Kutz i W. Has). A dalej perypetie wydawnicze i partykularyzm kwartalnika literacko-artystycznego stają się widoczne, gdy obejrzymy periodyki wydawane we Wrocławiu, w Krakowie. Pośród kłopotów materialnych największe to sprawy siedzib dla Filharmonii i Muzeum Sztuki, brak placówek kultury na Retkini i na Widzewie. Zjawiskiem wartym troski jest fakt pewnego zdominowania stowarzyszeń regionalnych przez etatowy aparat biurokratyczny.

Sprawa godną uwagi wydaje się kwestia nagród miasta Łodzi. W porównaniu z okresem międzywojennym formuła nagrody zmieniła się obecnie nagrodę przyznaje duże grono ludzi kompetentnych, ale anonimowych, nagrody przyznaje się nie tylko w dziedzinie kultury. Niewątpliwie, wraz z awansem cywilizacyjnym miasta ujawniła się celowość nagradzania także wybitnych twórców techniki, medycyny itd. Wydaje się jednak, iż nagroda zyskałaby na prestiżu, gdyby wyróżniano nie tylko wybitnych łódzian, ale także ludzi dla Łodzi zasłużonych (np. realizatorów „Ziemi obiecanej”). Pamiętać też warto, że dawne nieliczne jury w połowie złożone z artystów i autorów spoza Łodzi miało odwagę podejmowania decyzji kontrowersyjnych, tak m.in. wyróżniono przed wojną „bolszewickiego artystę” Władysława Strzemińskiego.

Ujawniający się w końcu lat siedemdziesiątych kryzys ekonomiczny nie zmienił faktu, że mieszkańcy Łodzi coraz więcej mieli czasu wolnego, czasu poza obowiązkami, który mógłby być poświęcony m.in. na kontakty z kulturą. Równocześnie minął już czas, gdy polityka kulturalna mogła arbitralnie używać dla celów przekształcania obywateli w jakichś form nacisku. W latach siedemdziesiątych miejskie instytucje kultury oraz środowiska twórcze stoją wobec konieczności wielorakiej konkurencji, atrakcyjnością swej oferty muszą przeciwstawiać się telewizji i nawykom obyczajowym odbiorców, poziom ich produkcji kulturalnej porównywalny być musi z innymi krajowymi i europejskimi centrami kultury. W dodatku, zainteresowanie odbiorcy budzą dzieła, które obok wysokiego poziomu wyróżniają się charakterystyką indywidualizowaną, mają jakiś geniusz łoci.

BOGUSŁAW SUŁKOWSKI



W KSIĘGOZBIORZE DOMOWYM

najważniejszą pozycję stanowić powinna książeczka PKO (a jeszcze lepiej PeKaO SA) z dużym wkładem — ale wiele osób lubi mieć także inne książki. Maj — tradycyjne DNI Oświaty, Książki i Prasy — szczególnie sprzyja uzupełnianiu prywatnych bibliotek. Na najbliższe dni Dom Książki przygotował sporo interesujących pozycji, wśród nich m.in.: Zieliński — „Papieżstwo i papież dwóch ostatnich wieków”, t. 1-2, praca zbiorowa — „Pontyfikat Jana Pawła II 1978-1983”, praca zbiorowa — „Na stolicy prymasowskiej w Gnieźnie. Szkice o prymasach pierwszej i drugiej Rzeczypospolitej”.

Dla amatorów nieco lepszej literatury: Gąsiorowski — „Czarny Generali”, Waltari — „Mikael” t. 1-2, Andersen — „Baśnie”, Rodziewiczówna — „Między ustami a brzegiem pucharu”, Przymanowski — „Cztery pancerni i pies”, Konopnicka — „Co słonko widziało”, Kobylński — „Ję królewska mój Wisła”.

Pozycje te — a także wiele innych atrakcyjnych nowości i wznowień — będzie można nabyć w księgarniach Domu Książki oraz na wielkim kiermaszu, który odbędzie się w dniach 15 i 16 maja.

OD WCZORAJ w TEOFILU trwa sprzedaż atrakcyjnych towarów z importu a wśród nich: koszule nocne damskie, ze 100 proc. bawełny, chińskie — cena 4 700 zł. Koszule męskie, letnie (z krótkim rękawem) o modnych fasonach, produkcji albańskiej — 900 zł, damskie płaszcze z elanobawełny, lekkie ocieplane (na wiosnę i wczesną jesień) produkcji jugosłowiańskiej — bardzo atrakcyjne choć drogie — 17 600 zł. Z atrakcyjnych towarów krajowych — męskie komplety letnie, elanobawełniane (spodnie i wdzianko) nieco ponad 4 000 zł oraz damskie kombinizony z „Damiń” za 6 200 zł.

PIĘKNIĘJĄ SKLEPY w Śródmieściu miasta — w najbliższym czasie kilka placówek „społenowskich” wznowi działalność po remoncie — niektóre z nich zmieniają branżę. M.in. sklep spożywczy przy ul. Północnej 27 — dotychczas niewielki i raczej ubogo zaopatrzony otwarty zostanie lada dzień jako placówka powiększona, wygodniejsza dla klientów i pracowników. Zmiana kierownictwa rokuje nadzieję na znaczną poprawę zaopatrzenia.

Dobiega końca remont sklepu sportowego przy ul. Piotrkowskiej 123 (niedaleko Nawrot). Oboko sportowych będą tu także niektóre artykuły wędkarskie i dziewiarstwo.

Sklep z eleganckim dziewiarstwem otwarty zostanie przy ul. Kilińskiego 17 — w miejsce ajencyjnego owocowo-warzywnego. Uruchomienie w tym rejonie minitargowiska pozwoliło na zmianę branży bez szkody dla okolicznych mieszkańców.

Najciekawsza zmiana — to przebranie sklepu przy ul. Piotrkowskiej 85, dotychczas sprzedającego szkło i artykuły gospodarstwa domowego na sklep patronacki Wólcanki. Obok pełnego asortymentu koszuł — w tym także modeli produkowanych na eksport — będą tu damskie bluzki oraz jako asortyment uzupełniający, spodniczki i męskie spodnie. Remont placówki dobiega końca.

NOWE PRODUKTY pojawiają się w sklepach spożywczych. Ostatnio pokazało się kakao z cukrem — smaczne, w formie łatwej do przygotowania, lecz mało wydajne i doskonały półprodukt do przygotowania masy kakaowo-migdałowej do ciast i deserów. Oba produkty w szklanych słoikach, ceny 230 i 260 zł.

Asortyment przypraw ziołowych poszerzył się o wyroby firmy Panaceum SC — Spółdzielnia Rzemieślnicza Olawa. Bazylię, lubyk, tatarak i inne zioła, ziołowe przyprawy pakowane w kolorowe torbki są sproszkowane, nadające się do bezpośredniego użytku. Na każdej torbie — krótka informacja o pochodzeniu i historii zioła oraz jego właściwościach i zastosowaniu we współczesnej kuchni. Do nabycia w większych sklepach spożywczych. Jedyną wadą nowych przypraw są wysokie ceny — opakowanie 30-gramowe ponad 100 zł.

DOBRE PRZECHOWAŁY się JABŁKA i jest ich ciągle duży wybór choć ceny mało zachęcające. Dorodne Idaredy po 140 zł kilogram, nieco tańsze Mc Intosh, najtańsze poniżej 100 zł Bojkeny. Tych ostatnich lepiej nie kupować. Mimo ładnego wyglądu są przeważnie zepsute od środka.

POWOLI TANIEJĄ NOWALIKI — ogórki kupujemy już poniżej 250 zł, dorodną sałatę, wystarczającą na obiad dla całej rodziny za 35-45 zł, pomidory poniżej 1000 zł, a są i po 600 zł. Wkrótce powinny jeszcze bardziej stanąć, ponieważ urodzaj pomidorów w tym roku zapowiada się bardzo dobrze.

NOWE FASONY SERWISÓW pojawiły się w sklepach z gospodarstwem domowym. Po raz pierwszy są to komplety pełne — zawierające naczynia do śniadań, obiadów i podwieczorków z kawą. Ceny zestawów 12 osobowych od 10 do 15 tys. zł.



Foto: Grzegorz Galasiński

Sandałki dla dziewcząt i pań. Kłopoty z surowcami i materiałami. Reforma gospodarcza przynosi pozytywne skutki. Starzeją się jednak maszyny i urządzenia.

Nikt nie boi się atestacji

TERESA JERZYKOWSKA

Dziewczyny i kobiety ze „Skogaru” ubrane są w krótkie, kolorowe botki albo czółenka, wyprodukowane tu właśnie, w ich zakładzie. Podejrzanie, że zaopatrzę się w nie na miejscu, przebiegając w magazynie wśród rozmaitych wzorów byłoby jednak niefortunne. Podobnie jak większość kobiet, noszących ten, niedawno bardzo modny, wodzą obuwia kupiły je w sklepie. Teraz zaczynają już szukać letnich sandałów. Najlepiej także „własnych”, bo — w tym roku — „Skogar” trafił w dziesiątkę, produkując udany, modny nie tylko u nas, ale i za granicą fason — sandały z fantazyjnie namotanych, skórkowych paseczków, na spodach z lekkiego tworzywa, imitującego korek.

Produkcja jest spora — ale trafia nie tylko do łódzkich sklepów, więc dostać je niełatwo. Pracownicy zakładu mają tylko trochę lepiej od pozostałych klientów, bowiem sklep (w którym sprzedawane jest również obuwie damskie i męskie z innych fabryk) mieści się tuż koło portierni, można więc zaglądnąć tu codziennie po wyjściu z pracy. Na ogół można się również dowiedzieć, kiedy do sklepu dostarczona zostanie nowa partia towaru — wprost z maszyn.

Łódzkie Zakłady Przemysłu Skózanego „Skogar” są przedsiębiorstwem wielozakładowym. Szyje się tu odzież skózaną, wytwarza spody poliuretanowe do obuwia na użytek własny, a częściowo również dla innych zakładów. Przede wszystkim na własne potrzeby pracują dwie garbarnie. Jednak najbardziej znany jest „Skogar” jako producent obuwia damskiego, opatrzonego napisem „Contessa”, wyrabianego w kilku zakładach, z których największy jest w Łodzi.

Zakład jest nowy (wkrótce obchodzić będzie 10-lecie istnienia w obecnej formie) i nowoczesny. Określenie to odnosi się w części do wyposażenia technicznego (tylko w części, bowiem po 10 latach pracy niektóre maszyny zaczynają się już trochę sypać, inne — pozostały w tyle za najnowszymi osiągnięciami światowymi w tej dziedzinie produkcji) w pełni natomiast do sfery organizacji.

Skutki wprowadzania w życie reformy gospodarczej, koniecznych, wynikających z niej zmian odczuł wszyscy zatrudnieni w zakładzie — bez względu na rodzaj wykonywanej pracy i stanowisko. I to odczuł w taki sposób, że po pierwsze — załoga zakładu ustabilizowała się, a po drugie — „nowego” nie boi się tu już nikt. Nawet atestacja — hasło w niektórych zakładach straszące i kierownictwo, i załogę — w „Skogarze” oczekiwana jest spokojnie, jako kontynuacja, w innej nieco formie, działań prowadzonych stale, od kilku lat.

Załogę nurtują natomiast inne sprawy. Mówi o nich kilku mistrzów.

Danuta Sienna — mistrz wydziału produkcji wierzchołów:

— Nasza załoga — w większości kobiety, jest już w wieku ustabilizowanym — większość ma za sobą urlopy wychowawcze, choroby małych dzieci, a jeszcze daleko przed sobą dolegliwości związane z wiekiem. Zwolnienia i inne nieobecności nie trapią nas nadmiernie. Można więc dobrze zorganizować pracę — ale są i przeszkody. Dokucza, zła jakość surowców. Ze skóry czy tworzywa z wadami bardzo trudno wyprodukować wierzchoły bez wad, pamiętając jednocześnie, że surowiec musi być w pełni wykorzystany. Normy są wysokie — za dodatkowe oszczędności dostaje się premie, za większą ilość odpadów — po kleszeni. Ludziom zależy na zarobku, więc się starają. Średnia na naszym wydziale za 1986 rok wyniosła 24 tys. zł — to przecież nie jest mało. Mogłoby być jeszcze więcej — gdyby nie trudności zaopatrzeniowe. Więcej surowców — i lepszych — to i butów więcej i dla nas lepszy zarobek. Ale to już nie od nas zależy.

Krzyszyna Jatozak, starszy mistrz wydziału szwalni, delegatka na X Zjazd PZPR:

— Najważniejsza zmiana ostatniego okresu to inny podział premii eksportowej. Dotychczas dostawali ją tylko pracownicy produkujący obuwie na eksport. Budziło to niezadowolenie pozostałych — pracują przecież tak samo. Obecnie w podziale premii uczestniczą — w różnym stopniu — wszyscy.

Dokuczają nam krótkie serie — mówi dalej — bywa że w ciągu miesiąca 5-6 razy zmienia się wzór, trzeba inaczej ustawić pracę w zespołach, od nowa nabierać wprawy. Trochę narzekamy na brak maszyn, psują się częściej, widać już skutki zużycia. No i nas, mistrzyni, nieraz dziwi, że niektórym szwaczkom jakby nie zależało na pracy. Tłumaczyć dorosłym przecież kobietom, że zarobią więcej, jak będą lepiej pracować, to jakoś nieznacznie i wstyd. Na szczęście takich osób jest mało.

Najważniejszy jednak problem — kontynuuje — to brak materiałów. Nie od nas zależy w takich warunkach organizacja pracy. Bywają i takie okresy, kiedy zamiast myśleć, co zrobić, aby uszyć więcej, musimy zastanawiać się, jak ustawić pracę, aby nie tylko dziś, ale i jutro było co robić przez całą zmianę.

Jerzy Kot, starszy mistrz wydziału montażu:

— Mamy dobry system plac, ludzie od nas nie uciekają. Nie tak dawno nawet z innych zakładów starali się o pracę w „Skogarze” — zachęcała ich możliwość dobrych zarobków. Potem inne zakłady dorównały do nas. Ale nadal źle nie jest. Byłoby zupełnie dobrze, gdyby nie zaopatrzenie. Brakuje klejów, apretur,

środków do retuszu, dobrych obcasów. Zdarza się np. że w trakcie montażu lekko zadrapie się skóra. Można by delikatnie podmalować — nie ma czym. I tak, bucik zamiast na eksport — przeznaczony jest na kraj i to w drugim gatunku. Albo opakowania — kilka tysięcy par butów leży i czeka na pudełka, a mogły być już wysłane. Jakoś łatwiej poradzić sobie z ludźmi, z organizacją, z placami — niż z zaopatrzeniem.

Z tych kilku wypowiedzi wynika, że zarówno załoga, jak i kierownictwo zakładu w jednakowy sposób widzą hierarchię zakładowych problemów — na pierwszym miejscu wymieniając zaopatrzenie.

W roku 1986 po raz pierwszy od czasu wprowadzenia reformy gospodarczej „Skogar” nie wykonał planu ilościowego, zarówno w produkcji rynkowej, jak i na eksport. Co prawda w nowe buciki z napisem „Contessa” ubrało się ponad 1,5 mln kobiet w ZSRR, RFN, W. Brytanii, Danii, Holandii i Belgii oraz przeszło 2,8 mln — w kraju (a więc prawie co czwarta pani powyżej 15 lat) — produkcja jednak mogła być o kilkaset tysięcy par większa.

Podstawowy powód — to brak surowcowo-materiałowy. Zablokowanie rachunków odpisów dewizowych sprawiło, że zakupy skór i innych, niedostępnych w kraju komponentów, zostały drastycznie zmniejszone. Niekiedy towary zagraniczne można było zastąpić krajowymi — w większości przypadków nie jest to jednak możliwe, zresztą krajowych także brakuje.

W 1987 roku zmieniły się nieco zasady dysponowania środkami dewizowymi przez producentów, z czym w „Skogarze” wiąże się spore nadzieje. Nowe, opracowane na rok bieżący kolekcje obuwia w sposób możliwie optymalny uwzględniają zaopatrzeniowe perspektywy. Liczba mnoga użyta jest w tym stwierdzeniu nie bez powodu — przygotowywano bowiem dwie kolekcje — na rynek krajowy, która niedawno zaprezentowana została na giełdzie przemysłu skórzanego w Poznaniu oraz dla odbiorców zagranicznych — którą w części będziemy mogli podziwiać podczas Międzynarodowych Targów „Interfashion — Łódź '87”.

Niestety — obie propozycje są różne, a mówiąc po prostu, obuwie, które trafi do naszych sklepów jest mniej atrakcyjne. Wymagania klientów zagranicznych są wysokie, konkurencja na rynkach zachodnich bardzo duża — a rozwój eksportu jest dla zakładu bezwzględnie koniecznością. Bez dopływu dewiz w krótkim czasie nastąpiłoby radykalne zmniejszenie produkcji, także na rynek wewnętrzny. Nic więc dziwnego, że to, co najlepsze proponuje się odbiorcom zagranicznym. Rynek krajowy rozpatrywany jest raczej pod kątem zwiększenia ilości niż wzrostu atrakcyjności obuwia — choć wspomniane wcześniej sandały i kilka innych udanych fasonów świadczą, iż krajowych klientów nie traktuje się bynajmniej lekceważąco.

Plan na 1987 rok przewiduje produkcję o kilkaset tysięcy większą od wykonania roku ubiegłego. Czy uda się to osiągnąć? Zadania I kwartału, zarówno w dostawach na rynek jak i w produkcji eksportowej zostały przekroczone. Pomyślnie wyniki nie są jednak dostateczną przesłanką, aby ze spokojnym optymizmem przewidywać zakończenie roku. Już w kwietniu dały znać o sobie załogi zaopatrzeniowe — wynik kilkunastodniowego styczeńowego postoju garbarni. Poprawiło się, co prawda, zaopatrzenie w klej, ale zaczyna z kolei brakować obcasów, sztywników, lakierów do produkcji korkopodobnych spódów. Producent sztucznej skóry nie może zrealizować zamówienia na welurowy polcorfam, niezbędny do realizacji bardzo poważnego, eksportowego kontraktu.

Niektórzy pracownicy z dłuższym stażem z niejakim żalem (choć raczej po cichu i tylko na półserio) wspominają lata 70. system nakazowo-rozdzielczy, kiedy to zaopatrzenie zapewnić musiał kto inny — a jak nie zapewnił, to jego wina i ani zakład, ani jego załoga nie odczuwała w dotkliwy, bezpośredni sposób skutków niewykonania planu.

Obecnie wszystkie trudności pokonywać trzeba we własnym zakresie — i muszą zostać pokonane, od tego bowiem zależy zarówno byt pracowników, jak i dalszy, planowany rozwój zakładu. Wszystkie podejmowane działania — które umożliwia reforma — jak m.in. doskonalenie systemu plac w takim kierunku, aby skłaniał wszystkich pracowników do możliwie najlepszego wykonywania obowiązków, przegląd stanowisk pracy, optymalizacja struktury organizacyjnej zakładu, określenie na nowo zakresu zadań dla poszczególnych komórek służą jednemu celowi: stworzeniu takich warunków, aby przy obecnych możliwościach techniczno-technologicznych i zaopatrzeniowych można było produkować jak najwięcej. W efekcie więc zyskujemy my — klienci.



Foto: Grzegorz Galasiński

Zbliżała się 21.00. Moja córka wykupana leżała już w łóżku. Jeszcze tylko bajka.

— Dzisiaj opowiem ci bajkę o... — O smoku! — Nie, nie o smoku. Dzisiaj opowiem ci bajkę o nadużyciach w pewnej spółdzielni.

— O nadużyciach? — Agata skrzywiła się.

— Tak. Bajka nazywa się Śniegowy Gang, ale nie napisz jej pan Andersen ani bracia Grimm. Więc posłuchaj.

ZŁOTY ŚNIEG

Wiadomą rzeczą jest, że zimą pada śnieg, więc nikogo nie dziwi, że w określonych porach roku białe puszyste płatki spadają na baranie kołnierze, na narciarskie czapki i futra. W pewnym mieście, pewni ludzie doszli do wniosku, że na śniegu też można zarobić. No, za to by nikt, nie płacił, chyba że właściciele zimowych kurortów. Chodziło o

sięcu (dni płatne), ale już w styczniu nikt z pracujących o tych dniach nie słyszał, a brzygdziści odpowiadali, że i tak mamy płacone za te dni, więc trzeba pracować. W rzeczywistości te 4 dni wolne stały się fikcją.

W tym miejscu zatrzymajmy się dłużej. W wolne od pracy dni mieli pracować ludzie z tzw. brygady ekspres. Liczyła ona w grudniu 40 osób. W styczniu zmniejszyła się do 32 osób. Każdy w brygadzie otrzymywał ryczałt w wysokości 43 tysięcy zł. W zamian oferował pełną gotowość. Brygady specjalne „Okruska” miały być wykorzystane przy obfitych opadach śniegu (tzn. w czasie kataklizmu), gdyby niektóre rejonu nie były należycie odśnieżone lub nie daj Boże odcięte od świata. Miały one także wywozić sprzątanym śnieg i sypać piaskiem. Tylko, że brygady te były fikcją — podstawieni ludzie przychodzili po wypłatę, którą po zatrzymaniu „symbolicznych” 10 proc. oddawali brygadziście.

nadzorowało ją, ale później i tam na nasze zapytanie odsyłano nas do... brygadziście. Słowem błędne koło. W grudniu stawki za metr sprzątaną powierzchnię były niejasne. W styczniu pojawiły się w punktach spółdzielni taryfy, ale były one nadal modyfikowane. W rejonach obrzeżnych miasta płacono — 1,54 zł za metr kwadratowy, w centrum miasta 1,32 zł, pozostałe — 1,15 zł.

Od stycznia zaczęły się masowo odpisy dniówek.

Trudno było zorientować się, kto i za co został tak potraktowany. O odpisach dowiadaliśmy się zwykle na końcu miesiąca, wtedy już nasze reklamacje były po czasie, a kierownik punktu mówił, że i tak od odpisów nie można się odwołać, zresztą do kogo. Brygadziści przekonywali, że w/w odpisy to sprawa MPK, tam z kolei mówiono, że nie podobnego i znów błędne koło. W końcu stycznia pojawiły się listy odpisów. Pasjonująca lektura. Zna jednego z brygadziście — odpis 321 złotych, zna-

niadach. Zresztą brygadziści działali błyskawicznie — gdy zaczynało się gdzieś palić, szybko spieszyli z gaszeniem. Szybko dogadywali się z takim delikwentem, który dużo szumiał. Wszystko rozchodziło się po kościach. Tak, taśma jak sądzę mogła być dużym argumentem.

— Więc szantaż? — Odwraca się.

— No, to chyba wszystko, co wiem o tym. Zresztą już nie mam czasu.

Wychodzę z klubu. Jeszcze za mną krzyk jakiegoś alternatywnego zespołu.

— Kim jesteś? Kim jesteś?!

WRACAJĄC DO ZLECENIODAWCY

MPK miało mały wpływ na kontrole pracy, ograniczało się tylko do sponsorowania. Jak i dlaczego taka firma jak MPK, o której się mówi, że deficytowa, znalazła na ten cel pieniądze? Komu na tym zależało? Bardzo ciekawą sprawą jest to, że nikt w MPK nie zauważył, że niektórych przystanków tramwajowych, zwłaszcza w centrum, usytuowanych przy bramach kamienic, nie potrzeba sprzątać, robia to bowiem dozorczy tych posesji.

„Znamy przypadek (tu nazwisko nieczytelne), który z 10 powierzonych mu przystanków sprzątał tylko 3, resztę zatłuszczał nieświadomie w naszym dozorczy. Oczywiście pieniądze za te przystanki płynęły do kasy spółdzielni”.

Autorzy dramatycznie pytają. „Czy państwo jest tak bogate, żeby płacić za jedną pracę podwójnie, nie mówię zresztą pieniądze? Traktowaliśmy swoją pracę poważnie, ale to, co robili ludzie kierujący nami bardzo nas zaniepokoiło. Brygadziści — to studenci ostatniego roku lub absolwenci i wyznaczyli się od nich poszanowania prawa i porządku. Nie wiemy, co na ten temat mają do powiedzenia inni pracownicy, ale w rozmowach z naszymi znajomymi odczuć jest podobne”.

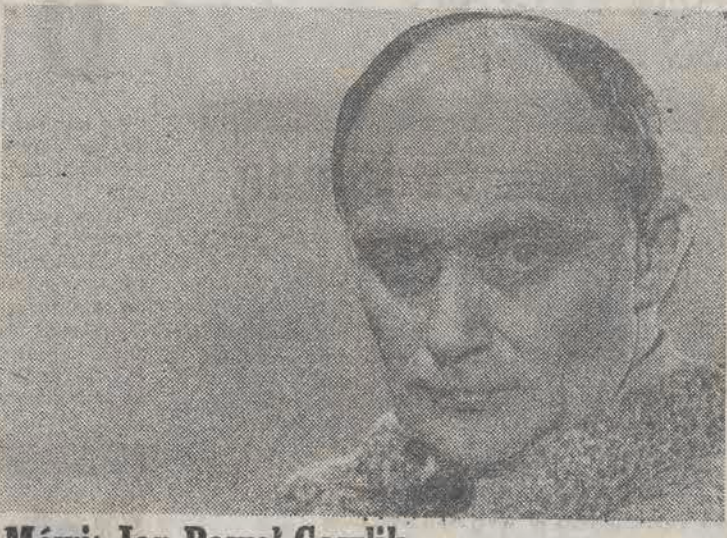
Zadaje sobie pytanie (Agata już spała), dlaczego ludzie zaczęli się w burzeniu, a kiedy przyszło co do czego ten protest rozpylił się — wszyscy szli karnie do kasy spółdzielni po pieniądze. Jedynym wytłumaczeniem byłoby to, że zarobki wynosiły po kilkadziesiąt tysięcy miesięcznie — wszystkim opłacało się milczenie. Ale taka — bez podania innych przyczyn — byłaby obraźliwa dla środowiska. Cała sprawa wydaje się już nieaktualna, ale i dziś trudno spotkać osobę, której by zależało na ujawnieniu jej. Wynika to także z solidarności środowiska studenckiego. Nikt nie chce uchodzić za kapusia. Bieże się ze wspólnoty interesów, ale przede wszystkim z pokutującego do dziś przeświadczenia, że brygadziści wszelkiej maści funkcjonujący obok młodzieżowych spółdzielni, to elita, a pieniądze, z których praktycznie okradają swoich kolegów, to swoisty haracz za ich układy, ale także (o czym nie należy zapominać)... inicjatywę. Większość osób wpłatanych w akcje śnieg skończyła studia, wyjechała z miasta. Wielu z nich pracuje jednak w „Okrusku”, lub podobnych spółdzielniach, które powstały jak grzyby po deszczu. Brygadziści rzekli się swoich funkcji, lecz przez podstawione osoby (wprowadzone przez nich do spółdzielni) ciągle kontrolują rynek pracy. Mając poparcie w zarządzie spółdzielni, nadal przejmują najlepsze zlecenia. Pracować ma kto — co roku na studia wstępuje kilka tysięcy „murzynów”.

Przypomnijmy. Na początku lutego nie wpłynęła skarga do Sądu Wojewódzkiego w sprawie nadużyć w Spółdzielni „Okruszek”. Prokurator zacieł rękę, ale list nie nadszedł. Skład sędziowski był gotów, ale nikt tego listu nie wysłał. Skarga, która kończyła się jakże słusznym apelem.

„Prosimy więc o zainteresowanie się tą sprawą, gdyż tolerowanie tego rodzaju spekulacji byłoby w naszym odczuciu dużym błędem”.

Agata spała twardo. Pochyliłem się i szepnąłem jej do ucha.

— Wszystkie nazwiska i imiona zostały zmienione. Wszelkie podobieństwa do ludzi i sytuacji są przypadkowe, a może i nie? Zresztą to tylko bajka.



Mówi: Jan Paweł Gawlik

— Jaki jest Jan Paweł Gawlik prywatnie? — Zapracowany, zabiegany, pełen trosk, a cytując Sępa-Sza-
rzyńskiego: „wąty, niebaczny, rozdwojony w sobie”...
— Czy mówiąc o sobie, mógłby pan powiedzieć: na początku był teatr? — Teatr pojawił się przez przypadek. Miałem ambicje polityczne.
— To znaczy? — Interesowała mnie polityka. Zarówno w znaczeniu gry między ludźmi, między siłami społecznymi, jak i w relacjach międzynarodowych. Nawet zacząłem się przygotowywać do tej kariery, ale czasy były nie po temu. I w jakimś momencie dokonałem wyboru. Oznaczał on zdystansowanie się wobec rzeczywistości, z którą nie mogłem identyfikować się. Skoro zdecydowałem się na margines, zawęziłem się również możliwości. Często szuka się wartości zastępczych, które okazują się wartościami pokrewnymi. Otóż sztuka w stosunku do polityki jest dla mnie sferą blisko z nią sąsiadującą. Również rozgrywa się między ludźmi. Również sprowadza się do wyobraźni i wrażliwości, do napięć i świadomości, do tego wszystkiego, co jest budowaniem modeli i szukaniem rozwiązań.

— Kiedy w pańskim życiu zaczął się teatr? — Za okupacji, we Lwowie. Co prawda traktowałem to jak rodzaj zabawy. Teraz jednak ranga doświadczenia, zarówno subiektywnie, jak i społecznie, bardzo wzrosła. Później jako student z czysto merkantylnych pobudek studiowałem w Teatrze im. Juliusza Słowackiego, potem zakochałem się w aktorce — i teatr mnie wciągnął.

— A publicystyka? Przez lata czytałem pańskie teksty w „Życiu Literackim”... — Zaczęłem się nią zajmować bez mała równoległe z teatrem. Z czasem zaczęła się ona nasycać treściami teatralnymi, o po pewnym czasie zdominować się wokół teatru na stałe.

— Czy pomogły w tym studia? — Ukończyłem Szkołę Nauk Politycznych przy Uniwersytecie Jagiellońskim, mam magisterium z ekonomii i ukończyłem na tymże uniwersytecie dziennikarstwo. Ale naprawdę uważam się za eseistę i krytyka teatralnego. Czasem, może dramatycznie... — Zawsze odnosiłem wrażenie, że pan nie mieści się w formie wypowiedzi: albo nie wystarcza panu publicystyka i musi pan robić teatr, albo teatr był za ciasny i musiał pan wypowiadać się dodatkowo... — Raczej publicystyka była za ciasna. Teatr uprawiam zresztą w różnych postaciach: zacząłem od krytyki, potem zająłem się dramaturgią... — Proszę przypomnieć pańskie dramaty.

— Było ich sporo. Te najciekawsze grane, to „Portret”, „Pokus”, „Egzamin”. W telewizji m. in. „Miejsce rektorskie”. Od 1968 roku zacząłem pracować w teatrze. Początkowo jako kierownik literacki, zaś w 1969 r. po dramatycznym odejściu Zygmunta Hubnera zaproponowano mi kierownictwo Teatru Starego. Proponowali ten teatr do 1980 r. Przez sześć lat — do 1982 r. — prowadziłem również — równoległe — Teatr Telewizji Polskiej. Później zająłem się organizacją Teatru Rzeczypospolitej i przez dwa lata prowadziłem Teatr Dramatyczny w Warszawie.

— Teatr jest pańską wielką miłością... — Raczej namiętnością.

— Miłość czy namiętność nie zawsze jednak bywają odważ-
jemienne. Mam na myśli lata 1980—1981.

— Taki był pejzaż tych lat. Moje odejście z Teatru Starego w Krakowie było zresztą świadome i w pewnym sensie zaprogramowane. Mogłem pozostać, ale za cenę kompromisu, który wydawał się nie do przyjęcia. Pozostałem wierzącym, nie diżnikiem.

— Teatr Rzeczypospolitej był pana sukcesem? — Był. Dramatyczny nie był. Biorąc pod uwagę czas inkubacji oraz niepokój jaki wzbudzała sama idea — niesłuszny zresztą — a także naszą działalność z lat 1983—1984, aprobowaną przez wszystkich — nie tylko nie mam się czego wstydić, ale jestem dumny z tej nikułmu na nie niepotrzebnej dziś Somosierry. Ogromnie żałuję, że idea tego teatru podlega teraz niebezpiecznej ewolucji: od promocyjnej sceny do instytucji usługowej... — I tak wrócił pan do Krakowa... — Do Teatru im. Juliusza Słowackiego i w bardzo trudnych warunkach spowodowanych wiadomymi okolicznościami próbuję prowadzić tę scenę.

— Piotr Fronczewski w wywiadzie dla „Kultury” przedstawił apokaliptyczną wizję polskiego teatru. Czy naprawdę jest aż tak źle? — Piotr Fronczewski jest wielkim artystą i ma prawo do własnego zdania, a w nim — do daleko posuniętej dezynwoltury. Ja też jestem pesymistą, ale jakby w innej tonacji. Nie podzielam w pełni opinii wyrażonej w „Kulturze”, między innymi dlatego, że każdy z nas ma w tym kryzysie swój udział. On także.

— Czy człowiek typu JPG ma jakieś inne, niż teatr, zainteresowania? — Człowiek typu JPG ma szereg zainteresowań. Uprawia jednak z doskoku, nie ma bowiem czasu ani na żeglarsko, ani na motocykle (należałem do klubu motorowego „Smok”, miałem licencję rajdową), nawet na zbieranie starych polskich znaczków pocztowych, które mnie pasjonują. Lubię też pieć piekna. A wszystko to bardzo jest czasochłonne... — Chciał pan zostać pilotem? — Miałem na to pewne szanse. Po dziś dzień czytam „Skrzydlatą Polskę”. Kiedyś jeździłem na nartach. Niestety — dyrektorem teatru jest się przez 24 godziny... — Ciężko coś panu uciekało, czegoś pan nie doświadczył. Skąd to ogromne nienasyceenie? — Łakomstwo raczej, chciał pan powiedzieć. O to zasada należałoby Pana Boga... — Co jeszcze mógłby o sobie powiedzieć JPG? — Chciałbym mieć za sobą jeszcze parę premier, które ułożyłaby się w obraz teatru, jaki dzisiaj jest potrzebny. Każdy z nas chwytając za piórko, kamerę lub mikrofon, a także podejmując pracę w teatrze — czyni to po to, by coś zmienić dookoła. Każdy z nas rad by zapewne świat przekształcić, ponieważ to, co obok się dzieje napędza niepokojem, a chcemy by wszystko mimo wszystko było mądrzejsze niż przeszłość, prawda? — Ma pan rację. Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał:
EUGENIUSZ IWANICKI

Śniegowy gang

JACEK MACIASZEK

to, żeby śnieg — ten, który w rzeczywistości jest opadem atmosferycznym złożonym z kryształków lodu, często w postaci sześcioramiennych gwiazdek; w temperaturze od —5 do 0 stopni C kryształki lodu łączą się tworząc płatki — w sposób szybki i fachowy sprzątnąć z przystanków tramwajowych. Kto miał za to płacić? Znalezione sponsora. Został nim Miejskie Przedsiębiorstwo Komunikacyjne w tym mieście. Zaczęła się zima. (a według urzędowej nomenklatury zima trwa od grudnia do kwietnia), płatki już dawno odleciały do cieplejszych krajów. Jesienne liście enily w kompostach, zimno i wilgoć skradły się w sieni. W nogi wchodził reumatyzm.

W styczniu jeden z członków spółdzielni pracujący na wyznaczonych przystankach w centrum miasta — niejaki Rysiu — został zajęty ze swojego odcinka. Powód? Używanie chloru do rozpuszczania zamrożonego lodu. Specjalnie spreparowany chlor znajdował się w drewnianych skrzynkach przy każdej prawie zwrotnicy — służył do rozpuszczania lodu w tychże zwrotnicach. Jest tajemniczą poliszynela, że wszyscy sypali.

ALE WSYPY NIE BYŁO

3 lutego nie wpłynęła do Sądu Wojewódzkiego skarga kilku członków spółdzielni w sprawie nadużyć i nieprawidłowości panujących w tejże spółdzielni, w związku z akcją „Śnieg”. Nie wpłynęła, bo nie została wysłana. Ale list został zredagowany i napisany — będąc się z nim opierał.

— Dobrze, już zaczynam — przerwała córka i zaczęła ziewać. List pozostał w brulionie, bez konkretnego adresata, ale opólnie wiadomo komu miał być przesłany.

„Jak panu zapewne wiadomo z prasy, w okresie zimowym przystanki tramwajowe na terenie miasta odśnieżali studenci. Była to pierwsza tego typu praca firmowana przez Spółdzielnię”.

— Nazwijmy ją KRYSZTAŁ albo OKRUSZEK.

— Ja wolę Okruszek — przerwała Agata.

„Nas, zatrudnionych przy tej pracy, zobowiązuje organizacja tego przedsięwzięcia oraz nadmierne bogactwo się kilku osób kosztem innych i państwa”.

W tym miejscu kończy się część wstępna listu. Zresztą przekreślona dwoma krzyżującymi się liniami. Czyżby autorzy przesłali się?

„Podział terenów odśnieżania odbył się w końcu listopada ubiegłego roku. Dużym bodźcem były wysokie zarobki, toteż wiele osób zgłosiło się do tej pracy. Jak to zwykle bywa, co „lepsze” rejonu dostali „swoi ludzie”. Kierujący pracą z ramienia spółdzielni brygadziści zarezerwowali dla siebie rejon obrzeżne miasta, gdzie trudniej dojechać, a tym samym kontrolować wykonywaną pracę. Wyznaczono cztery dni wolne od pracy w mie-

„Z tego, co wiemy, to może jedna czwarta z tych osób od czasu do czasu pracowała. Nie możemy podać nazwisk osób z tej brygady, bo ich nie znamy — są to bowiem figuranci — ale przy sprawdzeniu wszystkich osób z listy, bo taka zapewne istnieje, można przekonać się, że to jest prawda. Przy posypywaniu piaskiem, sprzątaniu sprzątanego śniegu byli „używani” studenci nie będący członkami „Okruska” — „murzyni” (najczęściej ludzie z pierwszego roku), którym płacono za godzinę pracy 300 złotych, oczywiście bez pokwitowania, od reki, jak się można domyślać z kieszonki wymienionych brygadziście”.

— TATUSIU, JAK TO — MURZYNI I ŚNIEG?

— Tak, kochanie. Ale ci „murzyni” mieli białe twarze albo szare — zmęczone nauką, przy tym śnieg w mieście daleki jest od białości. Więc specjalnego kontrastu nie było.

„W miesiącu styczniu po wypłacie grudniowej do wielu z nas (a może i do innych), przyszedł brygadziści Stanisław Bednarz, zabierając „rzekomo” nadpłaty z naszych pieniędzy. Bojąc się o dalszą pracę oddaliśmy tyle, ile sobie życzyli. I tak Robert B. oddał kilkanaście tysięcy, Mariusz C. — 10 tysięcy, Robert K. — 8 tysięcy. Jacek M., gdy brygadziści zgłosił się do niego powiedział, że pieniądze już stracił i w/w St. Bednarz dał mu spokój. Zagroził mu jednak, że jeśli w przyszłości nie będzie subordynowany (lojalny), pożegna się z pracą”.

A ŚNIEG PADAL NADAL

gwałtowne opady śniegu spowodowały utrudnienie w komunikacji krajowej. Opóźnienia pociągów sięgały do kilkunastu godzin, a nawet doby. Codziennie watahy młodych ludzi — przyszłych biologów, chemików, prawników i filologów — wyruszały na swoje, jakże niewygodne trasy. Magistrzy fizyki w waciakach i w walcach kuli lodowej na przystankach. Filozofowie oparci o szpadełki rozwiązywali zagadki bytu. Jakaś starsza kobieta nachylając się do wnuczka powiedziała:

— Nie ucz się, nie ucz — będziesz pracował jak ten pan.

Dziecko otworzyło buzię, poknęło zimny opłatek śniegu.

— I jego serce zamieniło się w sopel. To był Kay — powiedziała sennie Agata.

— Znam tę bajkę. Przerabiałam to jeszcze w maluchach.

„Bardzo ciężko było dowiedzieć się, ile właściwie metrów ma powierzchnia przez nas sprzątaną (obliczenie kilku tysięcy metrów przypadających na osobę nie było łatwe), stosowano więc dość swobodne obliczenia. Początkowo można było dowiedzieć w MPK, które te prace zleciło spółdzielni „Okruszek” i teoretycznie

jomi podobnie, ci, którzy domagali się uczuciowych obliczeń — 10 tysięcy i więcej. Podobno jeździły zespoły złożone z pracowników MPK i brygadziści „Okruska”. Istnieje pogląd, że część tych odpisów jest sprawą sponsora, który za niedotrzymywanie umowy (i słuszenie) potrącał część zarobków. Inna rzecz, że większość tych odpisów pochodzi od brygadziście, którzy tych pieniędzy już nie zwracali zleceniodawcy (wielki ryczałt?). Pieniądze zostawały w spółdzielni. Co się dalej z nimi działo — nie wiadomo. Dodajmy że były to sumy olbrzymie — zleceniodawca płacił „Okruszkowi” kilka, a może kilkanaście milionów miesięcznie. (Z tego teoretycznie połowa przeznaczona była na zarobki, reszta zostawała w spółdzielni”.

TASMA PRAWDY

Brygadziści i nazwijmy ich „zwykli odśnieżacze”. W jednym domu (akademickim) stali. Bywało, że i w jednym pokoju. Wszyscy znali się nawzajem. Począta pantoflowa przynosiła kolejne sensacje o nadużyciach ich kolegów. Kiedy w grę wchodziły pieniądze, kończy się przyjaźń, zostaje tylko układ. Układ, jak powszechnie wiadomo, zewnętrznie nie różni się od przyjaźni — ludzie uśmiechają się do siebie, rozmawiają, piją wódkę.

Pewnego dnia Stanisław Bednarz i jego kolega Jerzy Jaskier, także brygadziści zamknęli się w pokoju, żeby opracować plan dalszego działania (zbilansować, wytryczyć nowe plany działalności). Rzecz dotyczyła odpisów. Zamknęli się i szczerze pogadali. Komu odpisać i ile? Temu odpiszemy 15 tysięcy, bo podpadł; kiedyś, pijany podszedł do nich w hallu i zaczął wyzywać od złodziei. Jarkowi nie — to taki miły chłopiec. Tak bardzo chce zostać brygadziści.

W pokoju cicho pracowali magnetofon i kasety. Nagrywał rozmowę. Metody jak z filmu sensacyjnego. Tak powstała „taśma prawdy”, taśma która miała być dowodem w tej bulwersującej sprawie. Miała być, ale została tylko atutem przetargowym.

Szukam osoby, która miała coś wspólnego z tym nagraniem. Trafiam do jednego z klubów studenckich. Młody, barczysty człowiek, bramkarz ledwie mieszczący się w swojej bramce.

— Taśma? Jaka taśma?

— Ale po chwili już sobie przypomina.

— To nie była moja robota. Te taśmy nagrał Bolek, ale Bolek jest teraz gdzieś w wojsku. Tak, znam jego treść. Rzekiwiście dotyczyła odpisów.

Oprócz tego trochę takiej koleżeńskej pogawędki.

— Czy zależałoby ci na ujawnieniu jej treści?

— Uśmiecha się.

— Chyba nikomu już teraz nie zależy na tym. Wiele osób głośno przedtem, że ujawnienie praktyki panującej w spółdzielni, kończyłoby się jednak na deklaracjach. Praca była dobra, każdemu zależało na pie-

Andrzej Cezary
Sawczenko

Landszaft z panną

de Bruna
mieszkanie nowe dostałem przestronną chałupę
miejsce w świecie z czterema stronami i
widokiem w kosmos
na to teraz pożyję tylko drzwi uszczelnię
i powoli zabiorę się do urządzania
WIEC NAJPIERW TAPCZAN
bym potem spłodził w spokoju z kulturą
bo komu potem to wszystko zostawię
(a najlepiej bliźniaki bo jak jedno umrze)
POTEM STOL
pojem sobie popiję utuczę brzuszyśko
załatwię przy nim sławę i szacunek ludzi
(wszystko na wysoki polysk czy to ja

wyskrobek)

TERAZ SZAFKA TRZYDRZWIOWA
pierwsze drzwi Dobrobyt drugie Biała Miłość
trzecie czarny garnitur czyli Drzwi Do Raju
(i lustro by spojrzeć jakim piękny i tusty)
NASTĘPNIE MNOSTWO DROBIAZGÓW
ordery dyplomy kryształ rżnięty w różne
telewizor i biblia żebym nie nagrzyszył
I NA KONIEC LANDSZAFT Z PANNA
na to teraz żyć mogę
ale czasu nie stało bo trzeba umierać na to
raczej od początku
WIEC NAJPIERW SUCHIE MIEJSCE NA
CEMENTARZU

(Wiersz z tomu o tym samym tytule, który uka-
zał się nakładem Wydawnictwa Łódzkiego w
roku bieżącym).

rozmowy wieczorne o wierszach

Kryś

1.
od tej roboty
stwardniały mi ręce
nie mogę dojrzeć swojej Huli
życia. Moje wiersze
zawisły w powietrzu beznadziej. Dokąd — — —
edlują gołębie
białe jak cięta
siwego embriona

1.
napisał mi ezule
— — — — —
Jesteś śmiertelny we śnie

3.
słowa mnie boją
zamknij noc — — — — —
mrok wieje

4.
cisza jak płotom
To skowyczy gwiazda poranna

Srebrna struna

o jak ładnie umiera w nas miłość
jak cicho Bezszelestnie łagodnie między nami
Pomiędzy nami już tylko gorzkie ziola i
kolczaste krzewy Owoc głosu krwawej samotnie
Perłoplaw twoich dłoni rodzi nagie serce

o jak ładnie nam w oczach słońca jesień
wieczornieje
Wszystkie zachody słońca Zachody miłości
wszystkich
w oceanie schodzą lamiąc horyzont Zrywając
mosty ostatnie
osacza nas bezkresność polarna mgieł
porannych
białością duszną ementarnych chryzantem

drzewa pogasły W niebo wzeszły osarne
gwiazdy
pałe się winogrodem krzyk nocnego ptaka po
murze księżycu
(ten ogród tak cenny że nie do pojęcia)
ostrutki migdałów grzeczna w dymie nocy
blizna światła w lustrze kaplicy — mitologia
śledniu atlantydy
cwałuje pustka na fali przyboju Skomli dzień
Dobra noc — dławie się szczyderstwem

o jak ładnie umiera w nas miłość
dopala się świeca Ogień mrozu iza srebrna
trefi nasze rzyg
w harpie brzozy pękła srebrna struna

Dobry tytuł to połowa
sukcesu — tak kie-
dyś powiedziano. Ja
zaś chciałbym wię-
cej — izby któryś
z teoretyków litera-
tury napisał w końcu (n.b. pró-
by takie były czynione) rozpra-
wę habilitacyjną „Poetyka ty-
tułu”.

Tom „poetycki” dwójka imion
Andrzeja Cezarego Sawczenko
pt. „Landszaft z panną” już w
swoim „nazwaniu” jest jakby
kontaminacją dwu tytułów:
„Landszaft” z wędrującym
dnem (tom J. Żernickiego) o-
raz „Ballada z makaty” (wiersz
M. Białoszewskiego). Kontami-

pogada z Hamletem („Lądopado-
wa rozmowa z hamletem”), a to
posiedzi z kolegą Janem z
Czarnolasu („Wycieczka do
Czarnolasu”), to znów dyktuje
memoriały do autora „Mistrza
i Małgorzaty” („List otwarty do
niechala buhakowa”). Ot taki
brat lata, ale zarazem chudy
literat, co grożem nie traci
(„gmerasz mi w kieszeni, by
grożem się wzbogacić”), nie li-
czący czasu, bowiem każda
chwila jest piękna (ważna), a
każda sytuacja (wszystko) może
się stać poezją. Kompan to
przedni i do wypitki i do wy-
bitki, aczkolwiek bardziej do
tańca niż do różańca. Urodzony

ciężoch Ślachury, pokazuje
klarowną drogę Grochowiaka,
wiedzie niekiedy na metafizy-
czne ścieżki Jerzyny czy dukty
Śliwonika. A kiedy idzie swoją

Mówi niekiedy cudzym sło-
wem, ale pokolenie, które nie
mogło wykonać i wywo-
wiedzieć do końca własnych
prawd bądź to wierzy w jedną
ocalającą formułę poetycką
(Hybrydy), bądź — przeciwnie
— w swoich rezydentach
pisać przeciwko „słowom wyso-
kim” Młodożewski - Bruno.
Między skodyfikowanym i ob-
warowanym manifestami Cen-
trum (Warszawa) a „pobokami”
provincji rozpróciła się „zie-
mia niczyja”. Pragnęła ją za-
gospodarować Nowa Fala, ale
kolonializowała tę ziemię na o-
gół retoryką uwikłaną w kon-
tastatorskie gesty.

Poezja istnieje wiecznie —
ale poeta istnieje w historii. I
przeło współczesny poeta pol-
ski czeka na swój „prześwit”,
na swoją „szczęlinę w historii”
przede wszystkim nim dojrzy
„szczęlinę w bycie”. A prze-
cież ów byt go osacza i okre-
śla w egzystencjalnych, wy-
miernych aktach czy doznaniach
— w lekach porannych, choro-
bie, śmierci. I tam, gdzie Saw-
czenko nie jest korepetytorem
z poetyki charakterystycznych
dla kilku nazwisk „pokolenia
60”, kiedy mówi swoim głosem
(bowiem swoim niepowtarzal-
nym doświadczeniem) jest po-
etą interesującym („Wiersze spo-
tkań”). Zabrzmiało to tak, jak-
bym protekcyjnie wedle daw-
nego zwyczaju Skamandrytów
powiedział: Daję słowo honoru,
że Sawczenko ma talent poety-
cki. Od dawna już nie jestem
harcerzem, ale to harcerskie
słowo honoru raz jeszcze Wam
daje. Drodzy Czytelnicy.

HENRYK PUSTKOWSKI

Andrzej Cezary Sawczenko —
Landszaft z panną, Wyd. Łódz-
kie, Biblioteka Debiutów pod
red. J. Jarosława, Łódź
1988, as. 74, cena 100 zł.

pewny, nie? Potem drugi,
trzeci — z trzech sianków już
może być większy uraz. A jak
ci życie poglaska po głowie
— to się przecież czasami zda-
rza — to co? Żadnego śladu!

Popieści cię trzy i pięć, i
dziesięć razy — i nic! To się
psiakrewnie, nie sumuje! Z tego
na drugi brzeg nie wyniesiesz
ni cholery! Na tych swoich o-
bojętych kulach, na poobija-
nych piecach, w porzobianym
blu — nie wyniesiesz nie —
i to właśnie chciałem powie-
dzieć (...), że udało się nam
coś, co w pojedynkę byłoby
na pewno trudniejsze: dostrzeć
tamten daleki, wspólny brzeg!
Radość z potwierdzenia poczu-
cia pokoleniowej przynależ-
ności jest bez wątpienia szcze-
ra i wierzyni bohaterem
„Trzynastu spotkań”, kiedy od-
czuwają ją jako jedną z war-
tości podstawowych. Z drugiej
jednak strony — jak wiado-
mo — mitologiczna skłonność
nie jest obca żadnemu pokole-
niu. A co dopiero pokoleniu
Kolumbów, posiadającemu w
naszej powojennej literaturze
legendę najmocniej utwierdzo-
ną.

Zapamiętałem taką scenę:
narrator słucha wyznania znan-
ego literata. Ow człowiek piora
zapytany o to, co stanowi
największą trudność przy pi-
saniu powieści, odparł: „Wiele
osób chciało by usłyszeć: cen-
zura. Czy może tuż różny
cenzur, bo tyle ich jest (...).
Wcale nie. Największą prze-
szkodą jest wzgląd na kilka
lub kilkanaście osób najbliż-
szych...”. Słowa te można u-
znać za motto powieści Wło-
dzimierza Krzemińskiego. Jej
narrator często bowiem —
względ na kogoś, bądź na coś,
i jakby powstrzymuje się przed
ujawnieniem całej swej wie-
dzy o relacjonowanej rzeczy-
wistości. Niektórych spraw
każe się po prostu domyślać.
Co nie przeszkadza mu w po-
twierdzeniu pokoleniowej le-
gendy.

TADEUSZ
BŁĄŻEWSKI

Włodzimierz Krzemiński:
„Trzynastu spotkań”. Wydaw-
nictwo Łódzkie, Łódź 1987, s.
234, nakład 9850 + 350 cz.,
cena zł 180.

Balet z Montpellier

Więcej niż warsztat!

Wśród niemałej już grupy francuskich zespołów
baletowych, które miałyśmy okazję gościć w
Łodzi, dał się nam poznać w tych dniach za-
spół kierowany przez wybitnego tancerza,
Dominique Bagoueta, zdobywającego szlify
artystyczne pod kierunkiem m.in. Balanchina
i Bejarta, a od kilku lat uprawiającego twór-
czość choreograficzną, również na potrzeby
własnego zespołu, w dalekiej od Paryża Lang-
wedocji. W czasie swojego, krótkiego jesse-
zowania, niewielki 10-osobowy Compagnie Ba-
gouet odwiedził już szereg krajów, zwracając
na siebie uwagę oryginalnością i świeżością
artystycznego wyrazu oraz perfekcyjnością
wykonawczą, jeśli wolno polegać na teatral-
nym programie, przytaczającym z reguły opi-
nie najpochlebniejsze.

Występy zespołu, zorganizowane przy współ-
pracy Instytutu Francuskiego w Warszawie,
ściągnęły do Teatru Wielkiego w Łodzi liczny
zastęp miłośników baletu, w tym zwłaszcza
młodzieży.

Cały spektakl pt. „Assai” (odający, jak
wiadomo określeniu muzycznego tempa)
trwający bez przerwy nieco ponad godzinę, od-
bywał się w surowej scenerii nieco przytła-
czającej, ale funkcjonalnej dekoracji, przedsta-
wiającej jakby ulicę wymarłych domów,
w których wejść wychodzili i w których znikali
tancerze. To muzyczne stanowiło współczesny
ekspresyjny utwór symfoniczny Pascala Dusau-
piu o silnej dynamice i różnicowanej barwie,
ocierający się chwilami o muzykę konkretną.

Po podniesieniu kurtyny ukazały nam się
cztery balleriny, rozświetlające ciepłą żółcią
kostiumów śnieżną tonację dekoracji. Ustawio-
ne w zniechęconej pozycji manekiny, roz-
poczęły bez muzycznego dla pełnej gracji i łac-
koblwego wdzięku swoje pas de quatre, stop-
niowo jednak spowalniając rytm w wy-
raźnym asynchronie zastępy jak po wykre-
ceniu się sprężyny.

Sam ten występ można było odebrać jako
bezpłatny i świetnie wykonany taniec
dla tańca, ale już kolejne dwie postaci mę-
czyzmy w gimnastycznych trykotach, toczące
między sobą igraszkę gombrowiczowskiej „pojedy-
nek” na intelektualne gesty i miny zaczęły
skłaniać widza do rozszyfrowywania jakiegoś
głębszego sensu, podobnie jak po pojawieniu
się dwóch par „kostiumowych”, pocąganych
zgodnie przez domniemych intelektualistów
niewidzialnymi niemi.

Zrezygnowałem od tego momentu z docieka-
nia jakichś, być może mistycznych, treści, na
rzecz podpatrywania i podziwiania ogromnej
pomysłowości ruchowej choreografa, który jak
gdyby chciał wykreślić, iż ruchem i gestem ta-
ncownym może być absolutnie wszystko, za-
daniem bowiem przyjęty kanon estetyczny nie jest
dla niego alfa i omega i nie może stanowić
hamulca dla odkrywczej wyobraźni.

Tem cały arcybogaty repertuar ruchowo-mi-
miczny, spokrewniony ze sztuką pantomimy,
nie przekazywał więc widzowi jednoznacznych
treści pojęciowych, często służył „czystej
formie”, jako wartości estetycznej samej dla
siebie, a chwilami można było odnieść wra-
żenie, iż chodzi o popis sprawności warszta-
towej tancerzy. Byłoby to mimo wszystko, jak
sądzę, wrażenie mylne, z wielu bowiem scen
emanowała silna emocja, jak np. z tej, w
której pojawiły się trzy trzyosobowe rzędy
tancerzy: środkowy w kostiumach nie to wie-
ziennych, nie to szpitalnych, o wyraźnej neuro-
patycznym poruszeniu, się tancerzy, rząd pra-
wy w ciemnych kombinzonach z la lotni-
kuch, i rząd lewy, składający się z tancerem
o kusząco-amysłowych ruchach i pozach.

Wydało mi się, że Dominique Bagouet (przy-
najmniej w programie „Assai”) wypracował
ostateczne konsekwencje artystyczne z założe-
nia, że ruch tancerzy nie może być w spo-
sób adekwatny przełożony na język mowy li-
terackiej, co zwałnia choreografa od usiłowań
opowiadania widom literackiej fabuły, choć-
by w postaci libretta i że sam przebieg ru-
chowych działań, jeśli tylko harmonijny i
sprawny, jest wystarczającym „usprawiedli-
wieniem” baletu, podobnie jak np. zastawie-
nie barw (abstrahując od anegdoty) jest
„usprawiedliwieniem” dzieła malarzkiego.

Ala przecież emocje artystyczne, mimo swej
nieokreśloności, nie są z reguły całkiem jato-
we pod względem psychologicznych treści,
wywołują w widzu radość i smutek, zadowo-
lenie i niepokój, pragnienia i lęk, a nawet
pozwalają (nie posługując się literacką fabu-
lą) przekazać jakąś ogólną ideę, jakiś życiowy
sens. W moim odczuciu w „Assai”, jak gdyby
„mówi się” o tym, że życie jest kalejdosko-
pem zmiennych, nie zawsze konsekwentnych
i zrozumiałych zachowań, za którymi kryją
się zindywidualizowane, trudne do uzewnętr-
żnienia stany przeżyć, jak właśnie w końcowej
scenie, gdzie ciemne sylwetki tancerzy rysują
się na rozjaśnionym tle; tańczą oni każdy
dla siebie, w osamotnieniu i rozpaczy, dopóki
po kolei nie padną utrudzeni i wtedy dopie-
ro wzajemnie zrównani. Tu zresztą cała dzie-
siątka tancerzy zablasyła kolejną raz zna-
komitą sprawnością i siłą artystycznego wy-
razu. I nawet jeśli dopiero na sam koniec wi-
downia odebrała podobny czy przybliżony
sens, znaczy to dowodnie, iż trudna, nowator-
ska sztuka Bagoueta nie zamyka się w tech-
nicznym popisie.

Szkoda, że zespół o tak niepowodziem pro-
filu zjawiał się niespodziewanie tuż przed spo-
tkaniami baletowymi, które mogłyby zapewne
swoim udziałem jeszcze znacznie urozmaicić.

JERZY KWIECIŃSKI

ZE SZKOŁY ŻEROMSKIEGO W ŚWIAT

Wiesław Jazdżyński urodził się 9 września 1920 roku w Kielcach. Uczęszczał do słynnego gimnazjum humanistycznego, starej szkoły szczytującej się sławnymi wychowankami, nade wszystko zaś Stefanem Żeromskim. W okresie okupacji pracował jako nauczyciel w tajnym nauczaniu. Również krótko po wyzwoleniu pracował jako nauczyciel szkół średnich. Następnie studiował socjologię na Uniwersytecie Łódzkim i jednocześnie rozpoczął pracę w tygodniku „Wies”, później współpracował z „Kroniką” oraz pełnił funkcję redaktora naczelnego „Ogłosów”. Był dyrektorem i redaktorem naczelnym Wydawnictwa Łódzkiego, a także zastępcą redaktora naczelnego łódzkiej rozgłośni Polskiego Radia. Debiut prasowy Wiesława Jazdżyńskiego przypadł na rok 1945: opowiadanie „Chłopcy wrócili”, opublikowane zostało na łamach czasopisma „Chłopi”. Jazdżyński zaczął od publicystyki poświęconej sytuacji inteligencji polskiej, w szczególności interesował się kondycją stanu nauczycielskiego: „Dyplom” (1952), „Nauczyciele na wsi” (1955), „W powiatowej Polsce” (1956). W „Pamiętniku. Świętokrzyskim” (1946) pisał o możliwościach powojennej odbudowy gospodarki Kielecczyny oraz o tajnej oświacie w tym regionie; w „Roczniku Politycznym i Gospodarczym” (1961–1962) zamieścił esej pt. „Miasto Łódź”; w książce zbiorowej „Łódź w latach 1943–1960” (1962) opracował rozdział pt. „Oświata”. Jest autorem wstępu do głośnego swego czasu zbioru reportaży o Łodzi zatytułowanego „Ucieczka przed miastem” (1963); w książce „Przebieg przez Łódź” (1964) opublikował „Kartki z dziejów „Wsi”; a w „Księżce Przyjaciół” (1975, pod red. Jarosława Iwaszkiewicza) szkic pt. „Nad Willą i Niemnem”. Wstępnym poprzedził wybór prozy polskiej „Pisarze o szkole 1918–1977” (1980).

Bohaterowie powieści Wiesława Jazdżyńskiego uwikłani są zwykle w przeróżne perypetie: osobiste, rodzinne, wojenne, polityczne, obywatelskie. Właściwy wybór końcowy pozwala im przezwyciężyć owe różnorodne konflikty, przy czym zasadniczą rolę odgrywa wierność ideałom poznany i przyswojony w młodości, w okresie szkolnym. Wiesław Jazdżyński opublikował powieści: „Okolice starszego kolegi” (1960, 1967, 1976), „Nie ma powrotu” (1963, 1971), „Świętokrzyski polonez” (1965, 1966, 1983), „Między prawdą a chlebem” (1966), „Sprawa” (1969), „Pomnik bez cokołu” (1970), „W ostatniej godzinie” (1971), „Pojednanie” (1974), „Koniec sezonu” (1976), „Między brzegami” (1978), „Daleko od prawdy” (1981), „Gdy pękła nica” (1982), „Ogrody naszych matek” (1984), „Prawdy ze świata kłamstw” (1984), „Kolonii wszystkich świętych” (1986). Uprawia również prozę dla młodzieży: „Czuwajcie w tej nocy” (1972, 1985), „Ścisłe tajne” (1974) i twórczość science-fiction „Adara nie odpowiada” (1985). Jest autorem wstrząsającego retrospektywnego reportażu literackiego z hilerowskiego obozu dziecięcego w Łodzi „Reportaż z pustego pola” (1965) oraz tomu opowiadań „Umarli nie składają zeznań” (1961). W emitowanych przez łódzką ośrodek telewizyjny „Wiadomościach” prowadził stały felieton poświęcony problematyce kulturalnej i literackiej.

EDUKACJA PRZEZ LITERATURĘ

Kwestia uczenia się trudnej sztuki życia, słowem — najszerzej pojęta edukacja stanowi o treści wielu utworów Wiesława Jazdżyńskiego. Rzecz pierwszą i naczelną pozostaje sama szkoła jako instytucja wychowująca i kształcąca, najdokładniej ukazana w „Okolicach starszego kolegi”. Trudno się dziwić opisanym przez Jazdżyńskiego kilkunastoletkom, iż długo pozostawali pod wrażeniem i urokiem swego „starszego kolegi”. Uczniowskie przygody, opisane według najlepszych wzorów literatury młodzieżowej, z dodatkiem pogodnego, acz nie pozbawionego

sarkastycznych odcieni dowcipu, naśladujące początkowo rycerskie i indiańskie lektury, wiodą ku bezpośredniemu naśladowaniu bohaterów „Popiołów”. Jak masońska loża zbiera się Zakon Rycerzy Błękitnych, by z nowym impetusem podjąć szlachetną ideę — nie zaznać osobistego szczęścia, póki nie wyschnie ostatnia łza w oku cierpiącego człowieka. Szkolne sprzysiężenie pozostało od początku li tylko zabawą, stanowiło jednak w poważnej mierze życiowy egzamin z etyki.

Znacznie poważniejsze egzaminy przyszło składać w okresie wojny i okupacji. Ich ślady znajdziemy w każdej niemal powieści Wiesława Jazdżyńskiego. Pokazana przezeń edukacja partyzancka wyglądała rozmaicie — jedni uczyli się trudnej sztuki przezwycię-

wystarczają częstokroć za całą charakterystykę. Jeśli cechę tę posiadał dowódca oddziału partyzanckiego, powstawały konspiracyjne szkoły, kursy rolnicze i medyczne, a nawet Uniwersytety Ludowe. W owej „nauczycielskości” przejawiała się narodowa świadomość: potrzeba organizowania duchowego życia narodu, nawet w warunkach najgorszych, jak również potrzeba przygotowania wykształconych ludzi dla dzieła odbudowy i rozbudowy ojczystego kraju.

W ŚWIECIE PRAWDY I KŁAMSTWA

W utworach Wiesława Jazdżyńskiego kwestie moralne

prawdy oznacza tu potrzebę życia autentycznego, zgodnego z przekonaniami i potrzebami, a także podejmowania prób — nie zawsze zresztą skutecznych — poszukiwania sensu życia. Znaleźć optymalny modus vivendi: czuć jednostkową wolność i społeczną przydatność zarazem, być użytecznym i przekonanym o bezwzględnej słuszności własnego postępowania — oto ideał, do którego z niemałym trudem dążą bohaterowie prozy Wiesława Jazdżyńskiego. Zawarta w niej moralistyka jest konkretna, wymierna. Dotyczy także początku lat osiemdziesiątych, okresu przewartościowania w życiu narodu, okresu przewartościowania w życiu powieściowych bohaterów. Dokonują się one gwałtownie — zgodnie z duchem czasu. Polegają na silnie odczuwanej potrzebie sca-

prominenta. I następuje coś w rodzaju rachunku sumienia, poprzedzającego porządkowanie życia. Bo przecież prawdy i kłamstwa są pomieszczone w tym najlepszym ze światów. Wciąż na nowo trzeba się uczyć ich rozróżniania. Same dobre chęci jeszcze tu, rzecz prosta, nie wystarczą — ale trzeba je mieć i ciągle nad nimi czuwać. Trzeba się moralnie mobilizować w myśl hasła: „Dużo jeszcze lat przede mną czy mało, trzeba je przeżyć jak najlepiej”. Za wszelką cenę. Tak brzmi najważniejsze może przesłanie tej prozy.

Obok zachowań indywidualnych — Wiesław Jazdżyński — jak na socjologa z wykształcenia przystało — śledzi też reakcje grup społecznych. W „Kolonii wszystkich świętych” ukazał grupę prominentów o zróżnicowanym wprowdzeniu pochodzeniu, trwale wszakże związanych wspólnotą interesów. Pośród mieszkańców leśnej kolonii skupia się większość spraw nurtujących Polaków anno 1981, ale także wcześniej i później. Jazdżyński postawił sobie cel niemiły: zamierzył stworzyć interesującą powieść o żywej, niemal przegodowej fabule, dokonując jednocześnie analizy psychologicznej zróżnicowanych — historycznych, społecznych, politycznych i moralnych postaw. — „Polski nie można przegadać, trzeba robić” — oto wniosek płynący z dysputy syna-opozycjonisty z ojcem-legalistą. Ojciec może czasem pozuje na stojącego nieco na uboczu cynika, ale to tylko zdaje się przezeń przemawiać doświadczenie i mądrość przodków. Ożywiona rodzinna rozmowa w niejednym aspekcie przypomina polemiczne starcia znane ze środków masowego przekazu, rozgrywa się w utarczkach słownych, w żonglerce cytatami. Pobrzmiwają w niej przekonania, że „słowo coraz mniej znaczy, zupełnie tak jak pieniądź, słowo już niczego nie zapewnia, niczego nie zmienia”. Gorzka jest tonacja rodzinnej dyskusji i gorzka jest tonacja całej powieści. W otocze zamętu, niepewności zmiany frontu i przegrupowań rozpadają się zwarta dotychczas kolonia wszystkich świętych. Pojawiają się nowe sojusze i nowe układy. Im też poświęca pisarz niejedną gorzką refleksję. Uświadamia zadziwiająco żywotność starych polskich grzechów — sobiepaństwa, gaudulstwa, niesubordynacji — nieustannie groźnych dla społecznych i państwowych struktur. Zamykająca książkę wizja odnowionego starego domu rodzinnego — pustego, ale zdolnego przysiąć wszystkich pod dach, nabiera publicystycznej jednoznaczności, nie powinno być bowiem złudzeń co do hierarchii narodowych wartości. Przy okazji warto zwrócić uwagę na charakterystyczną cechę pisarskiego warsztatu autora „Kolonii wszystkich świętych”: na stosowanie nazwisk-etykiet, na posługiwanie się zróżnicowaną symboliką, często o romantycznym rodowodzie; na korzystanie z aluzji, przypomnień, niedopowiedzeń, literackiego względnie publicystycznego cytatu; na stałe odwoływanie się do narodowych stereotypów: przyzwyczajając i polemizując.

W RODZINIE NADZIEJA

W „Kolonii wszystkich świętych” Wiesław Jazdżyński pokazał możliwość narodowego konsensusu oraz powtórzył w nowych uwarunkowaniach tezę o konieczności pielęgnowania życia rodzinnego, jako że dla Polaków cała nadzieja w rodzinie: kiedy nadchodziły trudne lata, kiedy byt narodowy był zagrożony, odzywało się zwykle „głębokie poczucie rodzinności, jednoczące pokolenia pod rodzinnym dachem”. Tak być powinno i dzisiaj.

Apoteoza życia rodzinnego wysuwa się na plan pierwszy w „Ogrodach naszych matek”. To może najbardziej epicka z powieści Jazdżyńskiego. Temat historycznej i legendarnej przeszłości rozbudowanej rodziny, może nawet rodu, rzucany został na tło wydarzeń dla naszego narodu niezwykle istotnych. Wraz z rodem Tustanowskich przeżywamy odrodzenie Polski niepodległej, uczestniczymy w jej kształtowaniu, śledzimy późniejsze narodowe niedole. Powieść zbudowana została na zasadzie przemienności. Mężczyźni uczestniczą w

ważnych politycznie wydarzeniach, zaś późniejsze relacje kobiet stanowią swoisty komentarz do tych spraw. W ten to sposób ścierają się ustawicznie dwa punkty widzenia: bohaterski (romantyczny) i realny (pozytywistyczny). Starcie takie pozostaje typowe dla całej prozy Wiesława Jazdżyńskiego. Oczywiście samo sformułowanie jest dość umowne, bo ani podział ról, ani literackie obrazowanie nie jest w tym zakresie tak precyzyjne, czy może raczej dosłowne. Chodzi przede wszystkim o to, iż pisarz oddaje hold życiowej mądrości i trzeźwości kobiet, pragnących lat spokojnych i szczęśliwych. Najbardziej liryczne karty powieści Jazdżyńskiego są poświęcone rodzinie i kobiecie — opiekunce domowego ogniska.

PRÓBA BILANSU

Bohaterowie utworów Wiesława Jazdżyńskiego dokonują obrachunków, bilansują życiowe zyski i straty. Zyski są widoczne, ale i straty okazują się niebagatelne. W miarę zdobywania życiowego doświadczenia wypływały ideały, którym hołdowali oni w młodości. Młodzieńcze fascynacje przegrzają z rozumą i klęskami wieku męskiego. Wyrosłe z tradycji Stefana Żeromskiego pojęcie o roli inteligencji uległy naturalizmowi, choć przecież nie bezbolesnym przeobrażeniom. Bohater powieści „Między brzegami” wyznawał z przykrością: „Śfiszowaliśmy wspólnie testament Żeromskiego, a następnie odnaleźliśmy go w lochu pomiędzy cementarzami i uratowali dla ludzi. Na ten testament przysięgaliśmy kłęcząc przy kamieniu Biruty, ślubowaliśmy nie spocząć, póki nie wyschnie ostatnia łza w oku cierpiącego człowieka, i wieczną pamięć o sobie żęmy sobie przysięgali, śpiewaliśmy wieczorami przy ogniskach — bratnie słowo sobie daję, że pomagać będziemy wzajem, mieliśmy iść przez życie drogami, których śnieg nie zasypie i nie rozmyja deszcze, a mijaliśmy się obojętnie na tej samej ulicy. Przysięgaliśmy na grobie Bartosza Głowackiego biec się w stronę do ostatniego tchu za świętą sprawą kieleckiego bandosa, a spoglądamy na siebie podejrzliwie, ukryci w pluszowych fotelach. Może tam który bije się jeszcze, uczciwie i dzielnie, ale już bez mnie, bom ja już tylko aposta, ten, który odpadł”. Poznane i przyswojone w latach młodości ideały, którym patronował Stefan Żeromski, nie mogą tedy zbilansować się z bezwzględny — wilczy — prawami życia, wymagającego egoizmu i twardej walki o byt. A jednak bohaterowie powieści Wiesława Jazdżyńskiego — podobnie jak i autor — nie mogą, nie potrafili wyzwoleć się spod uroku duchowej spuścizny Żeromskiego. Podnoszą się — niekiedy z trudem bądź ociąganiem się, to prawda — z pluszowych foteli i niepomni anachroniczności postawy doktora Judyńa próbują postępować jego śladem. Bilans bowiem między ideałami a rzeczywistością nie może zostać zamknięty. Leży to w naszym wspólnym — polskim — interesie.

Autor „Świętokrzyskiego poloneza”, chętnie przyznaje się do patronatu Stefana Żeromskiego. I chętnie za nim powtarza: „Wielka sztuka urodzić się na poddaszu i tam przebywać, skoro idzie do salonów, staje się kurwą albo lokajem”. Słowa te nie tylko nie straciły na znaczeniu, ale przecież od czasów autora „Przedwiośnia” trószcząc się między innymi o to, jaka będzie w Polsce literatura, obrosy znaczeniami nowymi. Może nie zawsze pisarstwo Wiesława Jazdżyńskiego było sztuką wielką — w każdym razie za troskaniem o polski dom rodzinny, o dom ojczysty nie sposób mu odmówić. Również zacięcia publicystyczne i temperament polemiczny. Całe fragmenty powieści unać można za doskonałą publicystykę, i to nie tylko wtedy, kiedy dotyka spraw bieżących, niejako namacalnych i oczywistych, ale i wówczas, kiedy odwołuje się do bliskiej czy odległej przeszłości.

I na koniec pytanie. Kto to powiedział: „Trzeba rozrywać rany polskie, żeby się nie zbliżyły błoną podłości”?



ŁÓDŹ: historia, wspomnienia, relacje

W końcu 1987 roku EC-1, czyli staruszka Elektrownia Łódzka obchodzi coś w rodzaju osiemdziesiątych urodzin (piszę „coś w rodzaju”, bo za datę początkową elektryfikacji Łodzi można uznać zarówno rok 1900 — pierwszą, nie zrealizowaną koncesję, wydana przez władze firmie „Siemens i Halske” — albo rok 1906 — uruchomienie prowizorycznej elektrowni w gmachu Grand Hotelu i rozpoczęcie budowy elektrowni „właściwej” przy zbiegu ulic Targowej i Przejazd (dziś — Juliana Tuwima). W końcu roku 1907 nastąpiło uruchomienie czterech kotłów po 315 m kw. powierzchni ogrzewalnej i dwóch pierwszych turbinoprądnic po 1050 kw. Była na owe czasy elektrownią bardzo nowoczesną. Dziś EC-1 spochłbi się do emerytury, na którą oczekują także mieszkańcy śródmieścia. Starucha strasznie kopci...

ROSYJSKI SZYLD, NIEMIECKA FIRMA

Zanim jednak pożegnamy na zawsze najstarszą łódzką elektrownię warto może przypomnieć jeden, bardzo znaczący epizod z jej przeszłości. Była bowiem w latach dwudziestych naszego wieku przedmiotem jednego z największych wielokapitałowych szwindli, w które zresztą historia Łodzi obfitowała od zarańia miasta. Jest to opowieść ponura o pazerności i bezwzględności kapitału, o aferze gospodarczej, której rozmiary i międzynarodowy zasięg mogą służyć jako kliniczny, szkolny przykład charakteryzujący kapitalistyczne stosunki w epoce imperialistycznego i monopolistycznego stadium kapitalizmu. Muszę przeprosić czytelnika za przypominanie nomenklatury propagandy z lat pięćdziesiątych i z ówczesnych broszur typu „Notatnik agitatora”, ale jest jedne nazewnictwo, które do tej opowieści przylega i przypomina jednocześnie, że straszenie nas „wilczyimi apetytami międzynarodowego kapitału” to nie były opowieści o żelaznym wilku, że takie rzeczywiście było oblicze tej formacji społecznej w pierwszej połowie naszego stulecia.

A było tak: kiedy okazało się, że firma „Siemens i Halske” nie jest w stanie wykorzystać otrzymanej koncesji, za budowę elektrowni zabrał się bardziej fortunny koncesjoner i inwestor — „Towarzystwo Elektryczne Oświetlenia 1886 roku” z siedzibą w Petersburgu. Towarzystwo eksploatowało już elektrownie w Moskwie i Petersburgu, elektrownia w Łodzi była trzecim oddziałem tej potężnej, niemieckiej firmy, która tylko miała rosyjski. Kierowali nim Niemcy z obywatelstwem rosyjskim, ogromną część akcji oddano w ręce niemieckich kapitalistów. Między innymi znaczny pakiet akcji Towarzystwa był w posiadaniu Deutsche Bank w Berlinie. Wyżsi i średni funkcjonariusze byli Niemcami, po niemiecku — wyłącznie po niemiecku! — odbywała się korespondencja zewnętrzna i wewnętrzna, w języku niemieckim załatwiano sprawy techniczne i personalne, prowadzono księgi itd.

PO WOJNIE

Toteż nie dziwnego, że władze rosyjskie w chwili wybuchu wojny światowej przejęły elektrownie w Petersburgu, w Moskwie i w Łodzi i wprowadziły nad nimi kuratelę rządową. Zrobiły to nie tylko z powodów wojenno-strategicznych, które wówczas nie miały takiego znaczenia. Zrobiły to, kierowane interesem państwa — firma była wszak de facto niemiecka. Po wyprawie wojsk rosyjskich z Łodzi władze niemieckie postąpiły identycznie: elektrownia przeszła pod wojenny zarząd niemiecki, a jej wojennym dyrektorem był major Ribentropp (!).

Ustupające wojska niemieckie znacznie ograbiły elektrownię: wywieziono dwie spośród siedmiu turbinoprądnic, blisko połowę kabli i zdemastowano rozdzielnię w wyniku zarekwirowania z niej szyn miedzianych.

Władze Polskiej Niepodległej wprowadziły zarząd państwowy i upaństwowiły majątek Towarzystwa Elektrycznego Oświetlenia 1886 roku. Prawnie Towarzystwo już nie istniało — jego aktywa w Rosji znacjonalizował rząd Republiki Radzieckiej, Towarzystwo zostało rozwiązane.

Zgodnie z prawem międzynarodowym i dziejową sprawiedliwością Elektrownia Łódzka, jako mienie po zaborcach (w tym wypadku nie miało znaczenia czy po zabórce rosyjskim, czy niemieckim) została upaństwowiona bez odszkodowania.

POJAWIAJĄ SIĘ... SZWAJCARZY

I wtedy właśnie okazało się, że... Elektrownia wcale nie jest była własnością ani białego cara, ani kaisera! Akcje byłego „Towarzystwa” znajdują się w rękach kapitalistów... szwajcarskich! Panów tych reprezentują byli członkowie i akcjonariusze towarzystwa, byli poddani carscy, a obecnie obywatele Rzeczypospolitej Szwajcarskiej — Arndt i Ulmann!

Czytelnik musi mi wybaczyć, że nie podaję imion „bohaterów” tej opowieści, ale w wydawnictwach z lat dwudziestych nader często opuszczano imiona, co było chyba swoistym „ruszczeniem”. Wiem skądinąd, że Ulmann miał na imię Edward — zawiadczając do reportażowi historycznemu Jana Babińskiego, traktującemu o karierach przedwojennych władców energetyki

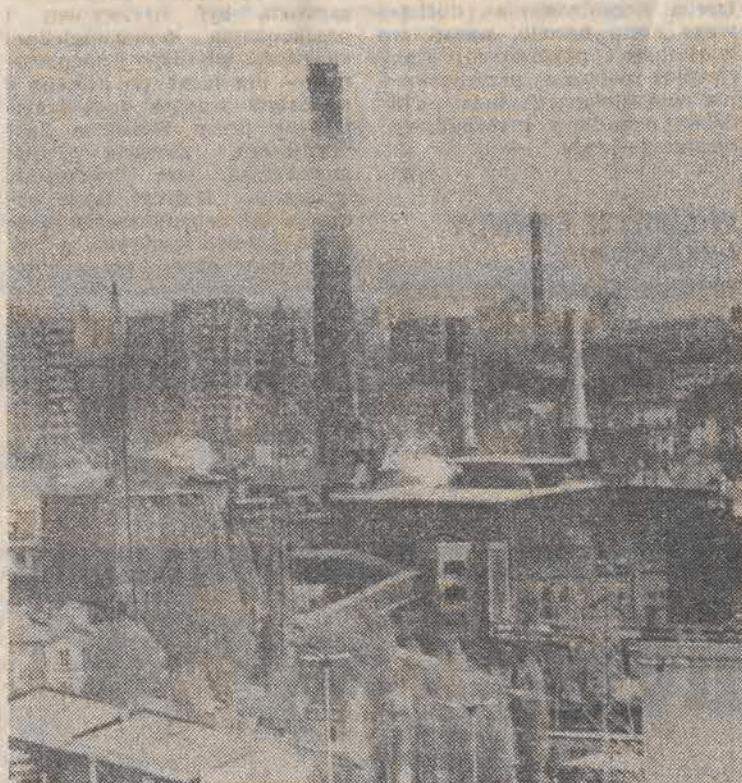


Foto: Grzegorz Gałasiński

Elektrownię Łódzką „przehandlowano” w latach trzydziestych rzekomej szwajcarskiej spółce. W rzeczywistości była to prawdziwa afery gospodarcza, którą nazwać można:

Gangsterski poker

ANDRZEJ KAROLCZAK

Łódzkiej. Natomiast lektura książki Babińskiego nie wskazuje jednoznacznie na znajomość broszury Stanisława Rapskiego, radnego m. Łodzi, a następnie wiceprezydenta miasta z ramienia PPS. Broszura, opublikowana w roku 1926 nakładem łódzkiego Okręgowego Komitetu Robotniczego PPS nosiła tytuł: „Zaprzeczanie Elektrowni Łódzkiej, jak ministrowie Skulski i Tolłoczko występowali się „farbowanym Szwajcarom”. Na tej głównie broszurze opieram się, przedstawiając niniejszą opowieść.

Wracając do pierwszych lat powojennych: panowie Ulmann i Arndt szanują prawo, powołują się jednak na „święte prawo własności” i ogromne straty, jakie ponieśli niewinni szwajcarscy akcjonariusze i proponują — zrazu dość nieśmiało — wykupienie od miasta koncesji na eksploatację elektrowni. Magistrat pertraktuje. Przy okazji odbywa się wycena majątku elektrowni: oszacowano go na 16 milionów franków szwajcarskich.

Niedobitki Towarzystwa mają jednak konkurenta — o koncesję stara się również nowo powstałe Towarzystwo „Światło i Siła”, które reprezentują m. in. inż. Sułowski, były prezes Rdy Miejskiej w czasie okupacji, dyrektor tramwajów podmiejskich inż. Gierlich — senator RP i były premier rządu Rzeczypospolitej — Leopold Skulski. Głównym argumentem, jakim szermuje „Światło i Siła” jest fakt, że reprezentują kapitał polski, narodowy...

Przetargi i machinacje przecina pismo Ministerstwa Robót Publicznych, które, w porozumieniu z Ministerstwem Handlu i Przemysłu oraz opierając się na opinii Generalnej Prokuratury komunikuje (17 lutego 1923 r.), że sprawa własności mienia Elektrowni Łódzkiej nie może być rozstrzygnięta do czasu wydania odpowiedniej ustawy. A ponieważ „Towarzystwo Elektryczne Oświetlenia 1886 r.” utraciło możliwość działań prawnych i brak osób, które mogłyby prawnie to towarzystwo reprezentować, państwo nie jest w stanie znieść zarządu przymusowego!

Magistrat łódzki zrywa pertraktacje z Arndtem i Ulmannem. Czyżby triumf „Światła i Siły”? Skądże, towarzystwo to traci

zupełnie zainteresowanie sprawą... bo w portfelach jego członków znalazło się 10 tys. akcji (10 proc. wszystkich akcji) konkurenta, czyli „Towarzystwa Elektrycznego Oświetlenia 1886 roku”.

W tym miejscu zaczyna się

GANGSTERSKI POKER

W myśl traktatu wersalskiego tytuł własności Elektrowni Łódzkiej był bezsporny: majątek obywateli pokonanych państw podlegał likwidacji na rzecz odszkodowań wojennych. Formalnie akcje elektrowni, jako majątek obywateli niemieckich, powinny być przekazane Komisji Reparyacyjnej w Paryżu. Tymczasem komisja ta otrzymała zaledwie 23 tys. akcji Towarzystwa 1886 r., na ogólną ich liczbę 100 tys. Reszta akcji znalazła się w posiadaniu obywateli szwajcarskich? W jaki sposób? Do dziś nie wiadomo... Wysłany do Paryża urzędnik Ministerstwa Przemysłu i Handlu Malangiewicz podobno zapoznał się na miejscu z jakimiś dowodami, świadczącymi, że firma Ulmanna jeszcze przed zawarciem pokoju była firmą szwajcarską. Akcje były bezimiennie, toteż nie sposób prześledzić, jak i kiedy zmieniały właścicieli, zwłaszcza jeśli i właściciele nie byli zainteresowani ujawnianiem ich losów, a i sami w tajemniczy sposób tracili obywatelstwo rosyjskie i okazywało się, że „od zawsze” byli rdzennymi Szwajcarami...

Komisja Reparyacyjna w Paryżu ogłosiła licytację akcji, a zainteresowani w kraju, a więc także samorząd łódzki, zostali o tym poinformowani w „Monitorze Polskim” 11 kwietnia 1923 r.:

„Główny Urząd Likwidacyjny komunikuje, że Komisja Odszkodowań w Paryżu rozpięła na dzień 19 kwietnia 1923 roku licytację 17.030 akcji zwykłych i 5.806 akcji uprzywilejowanych Petersburskiego Towarzystwa Elektrycznego 1886 roku.

Licytacja odbędzie się w gmachu Komisji Odszkodowań w Paryżu, rue de Presbourg, o godzinie 10 m. 30 przed południem”.

A więc „MP” informował o licytacji zaledwie tydzień przed jej terminem! Jakże ciał kolegialne — w tym przypadku samorząd łódzki — mogło w tym czasie odbyć zebranie, podjąć uchwałę o uczestniczeniu w licytacji, zgromadzić potrzebną kwotę, i wydelegować uprawnionego pracownika do Paryża? Nie takiego się nie stało, bo stać się nie mogło. Licytacja się odbyła, kolejny pakiet akcji trafił do rąk „obywateli szwajcarskich” z panem Ulmannem na czele.

Były więc akcje i nie było na placu konkurenta — „Światła i Siły”. Była natomiast nieszcześna decyzja Ministerstwa Przemysłu i Handlu, blokująca dostęp do koncesji na użytkowanie łódzkiej energetyki. Trzeba było szukać ludzi, którzy dzięki swym wpływom mogli „rozmiękczyć” stanowisko władz. Za pieniądze można kupić wszystko, toteż „szwajcarskie” towarzystwo zwerbowało dwóch działaczy politycznych, zasłużonych aktywistów niepodległościowych: byłego premiera RP Leopolda Skulskiego i byłego ministra Poczty i Telegrafów w jego gabinecie, Tolłoczko.

Zwłaszcza na pana Skulskiego warto zwrócić uwagę: był już zamieszany w głośną „afery żyrardowską” razem z ministrem Przemysłu i Handlu, Kuchońskim. Kuchoński unieważnia, bez porozumienia z Radą Ministrów i Prokuraturą Generalną poprzednie orzeczenie tego ministerstwa, ogłoszone, kiedy kierownikiem resortu był jego poprzednik, Olszewski.

SZWAJCARZY OKAZUJĄ SIĘ BELGAMI

W październiku 1923 roku odbywa się walne zgromadzenie funkcjonariuszy Towarzystwa 1886 roku, które wybiera na prezesa Leopolda Skulskiego, posiadacza... pięciu akcji! Dalej p. szło jak z płatka: Ministerstwo Spraw Wewnętrznych rejestruje nowe towarzystwo: „Łódzkie Towarzystwo Elektryczne Spółka Akcyjna”. Przekonanie łódzkich władz municypalnych to już drobnotka: od roku 1925, ściślej — od 7 października nie istnieje zarząd państwowy Elektrowni Łódzkiej. 29 października na murach elektrowni pojawia się obwieszczenie o zmianie dyrekcji. 31 października wydano o pracy radnych miejskich, przeciwstawiających się przyznaniu koncesji „farbowanym Szwajcarom”, członków PPS, m. in. Stanisława Rapskiego.

Gdyby przyjrzeć się trasom podróży nowego dyrektora, Edwarda Ulmanna, to ze zdziwieniem stwierdzić by można, że częściej niż do Bazylei w Szwajcarii, wyjeżdżał do Brukseli... Tak, tak, „Łódzkie Towarzystwo Elektryczne” było własnością spółki szwajcarskiej, zaś ta ostatnia należała do pewnej ogromnej firmy belgijskiej... Ale to już temat na osobne opowiadanie.

„Więzienny tramwaj”

ZDZISŁAW FICHNA

W nawiazaniu do artykułu pt. „Więzienny tramwaj” („Odgłosy” nr 2/87), chciałbym dorzucić kilka informacji:

1. Od urodzenia mieszkalem przy ul. Kilińskiego 156, budynek więzienny, o którym była mowa w artykule, znajdował się pod numerem 152. Do tego więzienia przyłączony był również obecny pałac Szkoły Filmowej na ul. Targowej.

2. „Więzienny tramwaj” przejeżdżał codziennie (w dzień) w godzinach 9.00–10.00 i drugi raz około 15.00–16.00, z wyjątkiem tych dni, w które przy-

chodzili do „obyczajówki” kobiety na badania i po pieczętki, a było tych „pań” zawsze około setki.

3. Więźniowie wysiadali zawsze tylnym pomostem. Obstawo stanowiło około 10 gestapowców z automatami. Więźniów było zawsze około 20. Drogę z wagonu do budynku — około 3,5 metra — przebywali w 5 minut i następowało ładowanie do wagonu nowych więźniów. Obstawa zachowywała się spokojnie, unikali brutalności. Więźniowie wybiegali z rękoma splecionymi na głowie.

4. W roku 1941 jeden z więźniów roztrzącił eskortę i uciekając, wskoczył do naszej bramy. Przebiegł podwórko i dobiegł do plotu o wysokości 2 m., udało mu się wskoczyć na niego. W tym momencie wbiegli za nim na podwórko dwaj tajniacy z pistoletami w rękach. Jeden stanął i z odległości ok. 45 metrów strzelił trzy razy. Mężczyzna krzyknął i spadł z plotu z powrotem na nasze podwórko. Wówczas tajniacy dobiegli do niego i wyciągnęli z podwórka za ręce. Całe to zdarzenie widziałem z okna mojego mieszkania na 2 piętrze. Eskortę nie mogła strzelać, bo na przystanku było sporo ludzi, a pozostali więźniowie starali się rozbiec w celu utrudnienia pościgu.

5. W roku 1942 widziałem jeszcze trzy ucieczki: jedna w ulicę Wigur — uciekający postrzelony przy rozlewni octu,

druga ulicą Kilińskiego w kierunku ul. Abramowskiego — postrzelony przy ul. Fabrycznej przez policjanta „kogutka”, trzecia w kierunku ul. Abramowskiego — postrzelony obok domu przy ul. Kilińskiego 160. Przypadki te spowodowały zastrzeżenie nadzoru polegającego na tym, że przed przyjazdem „tramwaju więziennego” wychodzili „cywile” — tajniacy w sumie około 10, którzy rozchodzili się po ul. Kilińskiego na odcinku od ul. Orła do Abramowskiego, a dwóch wchodziło do kwiaciarni naprzeciw naszego domu, jeden wchodził do naszej bramy.

Z komisariatu na ul. Abramowskiego 2 wychodzili „kogutki” w ilości 6 patroli i zajmowali stanowiska na przykład w budynku na ul. Kilińskiego róg Abramowskiego (dziś już rozebrany).

6. W naszym domu mieszkało 50 lokatorów, w tym 10 Po-

lisków, trzech gestapowców i jeden „kogutek”. Było nas 5 rówieśników i często byliśmy wysyłani jako chłopcy na posyłki do kantyny w budynku więziennym po piwo lub koniaki. Raz trafiliem, wychodząc ze sprawunkami z tego budynku, na wprowadzany transport z „więziennego tramwaju” i widziałem, jak gestapowcy bili tych ludzi pejcami i kopali.

7. Poza przytoczonymi wyżej faktami prób ucieczek wiem (widziałem lub słyszałem od naczynych świadków) o około 6 próbach ucieczek. Wyglądały one tak: zamieszanie, dwóch lub trzech ludzi stara się rozbić i po 10 metrach są zatrzymywani przez zagrządzających im drogę „tajniaków”.

8. Oprócz „tramwaju” kursowały „suki” o skrzyni metalowej umieszczonej na samochodzie 3-tonowym. Odnośnie opi-

ni o przeznaczeniu omawianego wagonu, to wiem, że kilka osób pytanych przeze mnie odpowiadało: „to jest wagon techniczny”. Wagon ten często prowadził Niemiec — komisarz gospodarczy domu przy ul. Kilińskiego 158, a zatrudniony w zakładzie przy ul. Dąbrowskiego jako majster mechaników.

9. A teraz kilka informacji na temat „wagonu sanitarnego”: zima 1943/1944 r. przyjechał na Karolew pociąg sanitarny złożony z 50 wagonów, wyładowany rannymi z frontu wschodniego. Ładowano ich do takich „wagonów sanitarnych”. Pociąg ten stał trzy dni. Wybierano tylko tych rannych, którym odpady dłoń i stopy z powodu odmrożenia.

Polemiki • Listy • Opinie

DNI PABIANIC '87

W piątek 15 maja będzie dużo hałasu. Nad Pabianicami przeleci samolot ze wstęgą, a jednocześnie z trzech punktów miasta wyruszą orkiestry dęte, kierując się w stronę Muzeum, które obchodzi swoje 80-lecie. Na inaugurację m. in.: otwarcie wystawy artystów, koncert muzyczny, pokaz mody prezentowany przez ZPO „Pabia” oraz wystawa plastyczna w Miejskiej Bibliotece Publicznej, która także obchodzi swoje 80-lecie.

Jednym z organizatorów obchodów jest liceusz sobie już 30 lat tygodnik „Życie Pabianie”. Ponieważ Stasiowi Czekalskiemu z „ŻE” małżonka skonfiskowała listę najpiękniejszych pabianiczek, nie dojdzie do wyborów Miss Pabianic. Kandydatkom zabrakło odwagi, a szkoda, bo obowiązywał tylko strój wieczorowy i sportowy, tzn. szorty plus toples.

16 maja to dzień bardziej sportowy, przy czym główne imprezy odbędą się na obiektach „Wióknarza” i MOSiR na Bugaj. Jeśli tego dnia zapłonie las w Parku Wolności, nie należy wpadać w panikę, gdyż będzie to jeden z elementów obchodów Dnia Strażaka. Poza tym Zakładnia, festyn harcerski, kiermasz książek i staroci, kiermasz wyrobów rzemieślniczych i jarmark z atrakcjami. W stoiskach Gminnej Spółdzielni, która bardzo pomaga miastu, będzie można podobno kupić nawet cement luzem.

W komitecie obchodów ma swój znaczny udział Towarzystwo Przyjaciół Pabianic, toteż nie dziwnego, że sympatycy ukuli na cześć szefowej hasło bojowe: „Każdy miły dzionek z panią Lełonek!”

17 maja zapowiada się sportowo-muzycznie. „Piknik”, gry, zabawy, koncert dyplomantów Państwowej Szkoły Muzycznej i spotkanie z folklorem: występy zespołów „Bychlewicka” i „Dobroń” oraz po raz pierwszy w Pabianicach — górale z akademickiego zespołu „Skalni”.

Na trzy święteczne dni milicja pod wodzą ppłk Witkowskiego zawieszła mandaty i pałki na kółkach. W zamian najprzystojniejsi funkcjonariusze będą pokazywać społeczeństwu tlesze psów milicyjnych.

Dla uświetnienia obchodów wykonano flagi z herbem Pabianic. Na czas targów „Interfashion” flagi wywiesi się na rogatkach, aby goście targow wiedzeli, gdzie wjeżdżają. A za rok, jeśli Ksawerów nie zgłosi sprzeciwu, Łódź zostanie przyłączona do Pabianic.

A na dziś... — wesołej zabawy!

R. BINKOWSKI

MIEDZY ZGIELKIEM, CISZĄ I PARANOJĄ

Wprawdzie Zenon J. Michalski zastrzegł się, że już odpowiadać na ewentualną polemikę nie będzie, ale tym niemniej i mnie przysługuje prawo do „ostatniego słowa”.

Czyta zatem Zenon Michalski, czyta — i nie rozumie tego, co czyta. A może, zanim przeczytał do końca, już rwał się do odpowiedzi?

Wali bowiem Zenon Michalski z grubej rury, stwierdzając, że stosuje metodę pierwszej połowy lat 80., polegającą, jak pisze, „na wyrwaniu mianowicie z kontekstu krótkiego fragmentu i próbowaniu na nim budować”. Ja cytowałem nie wyrwany z kontekstu fragment, a cały akapit, zawierający pełną i skończoną myśl. Gdyby to uznać za fragment wyrwany z kontekstu, trzeba by, aby uniknąć powyższego pomówienia, zacytować cały tekst autorki, co jest oczywiście niemożliwe. Tutaj nieuczciwość polemiczna Zenona Michalskiego, wyłożył całą gębą, bowiem on, akurat cytując zaledwie fragment cytowanego przeze mnie fragmentu. Zresztą takich fragmentów wyrwanych z kontekstu przytacza więcej. I jest to normalne. Chociaż, stosując się do recepty Zenona Michalskiego, powinienem mu to w rewanżu wytknąć. Przecież w każdej polemice cytuje się tylko fragmenty, siłą rzeczy wyrwane z kontekstu, bo inaczej nie można.

Kolejne dziwactwo, to imputowanie mi słania niezgody i intryganctwa, gdy piszę, jak Tow. Przyjaciół Łodzi jest nazywane przez „działaczy różnych szczebli łódzkiej drabiny władzy”. O ile wiem, prawdziwe intrygi knuje się za plecami zainteresowanych, po cichu, głośno wypowiadając zupełnie przeciwnie opinie. A bardzo nieładnie (i niemoralnie) zachowuje się tylko ten, kto udaje, że wszystko jest cacy, wiedząc, że tak naprawdę już gorzej być nie może.

Dalsza lista zarzutów, to czysta paranoja. Usiłuję, zdaniem Zenona Michalskiego:

- postawić go w dwuznacznej sytuacji wobec redakcji „Odgłosów”,
- postawić w dwuznacznej sytuacji wobec studentów Szkoły Filmowej,
- posiadać nieufność wobec jego intencji u zasłużonych pedagogów szkoły,
- poróżnić do końca z Ewą Rubinstein.

Dosyć! Trzeba mieć wyjątkowo silne poczucie własnego znaczenia, aby wszędzie widzieć przeciwników. A przecież ja tego człowieka nie znam, nigdy go nie widziałem i tak naprawdę, to niewiele mnie on interesuje.

Zenon Michalski ogłasza, że zawsze zwalczał, zwalcza i zwalczać będzie krytykanctwo. Słuszna to zasada, ale może być nadużywana. Historia bowiem uczy, że ci, którzy zwalczali „krytykanctwo” i „intryganctwo” (zdaje się, że dość gęsto w przywołowanych przez Zenona Michalskiego latach 50.) często sami obawiali się krytyki, a to magiczne słówka pomagały im postawić w dwuznaczności (lub jednoznacznie negatywnym) świetle krytykującego i tym prostym sposobem pozbyć się niewygodnego przeciwnika. Ale te czasy minęły. Dzisiaj pomówieniem o krytykanctwo nie łamię się tak łatwo innych piór. Tym bardziej, że każdy ma prawo do własnej oceny spraw i ludzi i nie wszystko musi się nam jednako podobać.

Pyta mnie Zenon Michalski, jak bym się czuł, gdyby insynuował, że moja krytyka Szkoły Filmowej jest wynikiem jej nieukończenia. Odpowiadam, że czułbym się (i czuję) dokładnie tak samo, jak przed postawieniem tego pytania. Nie ukończyłem również kilku innych szkół (jak np. Wyższej Szkoły Papierniczej w Elblągu, Państwowego Instytutu Teologicznego we Wrocławiu, Zasadniczej Szkoły Muzycznej w Przasnyszu czy WUML-u) i nie przyszło mi do głowy czepiać się tych zasłużonych uczelni o cokolwiek. Poza tym zajęcia Studium Scenariuszowego odbywały się w Warszawie, o czym Zenon Michalski, jako pracownik Szkoły Filmowej wiedzieć powinien. Gdybym musiał się utożsamiać, to nie z sztydem PWSFTiV, ale z siedzibą „Zespołów Filmowych” przy ul. Puławskiej, stałym miejscem zajęć. I ten strzał jest więc chybyony.

Cytując polemikę Zenona Michalskiego, zacząłem nagle rozumieć, o co tu chodzi. Otóż, popełniłem błąd. Zamiast zbierać materiały o Filmówce, zwrócić się wprost do źródła, czyli Z. Michalskiego, spojrzeć na Szkołę przez jego (jeśli nosi) okulary i rygnąć cukrowaną laurkę, poszedłem, niemiędzy do jakichś nieważnych, niepoważnych studentów, posłuchałem co mówią i uwierzyłem, że to prawda. Nie wiedziałem, że wszyscy dybią na Zenona Michalskiego, chcą go zniszczyć, trafił im się jak z nieba dziennikarz i przy jego pomocy (nieświadomego, nieroztropnego i naiwnego) doprowadzają do dwuznacznych sytuacji, siłą nieufności, intryganctwa, itp. Oto, do czego prowadzi brak rozeznania, nieznajomość układów i niechęć do włączenia się w nie.

A teraz poważnie: nie po raz pierwszy los staje nagle i niespodziewanie po stronie prawdy. W ostatnich tygodniach zaczęły dziać się rzeczy ważne, dotyczące Szkoły Filmowej, od których wiele zależeć będzie w przyszłości. Wydarzenia te, jakby na życzenie, są ilustracją też postawionych przeze mnie na radarowym

„Słuchaniu cizy”. Jestem pewny, że Zenon Michalski nie wie, o czym mówię. Otóż, studenci uruchomili własną aktywność przeciwną. Ale to zupełnie inny temat.

MAREK KOPROWSKI

OD REDAKCJI: I na tym kończymy polemikę między Markiem Koprowskim a Zenonem J. Michalskim, choć problemy szkoły filmowej nadal nas interesują.

CENIĆ KAŻDĄ INICJATYWĘ

Tak już jest w naszym kraju, że wszelkie inicjatywy społeczne są mile widziane, o ile autoryzują je ludzie z tzw. czynników odgórnych, którzy przy uzyskaniu powodzenia chcą zbierać laury za tych, co wkładają najwięcej pracy w dane osiągnięcia. W wypadku, kiedy to się im nie udaje, próbują poniżyć lub w ogóle pominać milczeniem podobne inicjatywy (nawet gdy te zyskują poklask społeczeństwa). Pragnę też niejednokrotnie takie inicjatywy storpedować.

Podobną metodę zastosowała Gminna Rada Narodowa w Andrzejowie. Szkoła Podstawowa w Andrzejowie jest jedną z trzech szkół działających w gminie Andrzejów. Przepelniona dziećmi uczącymi się na zmiany stwarza wrażenie olbrzymiego kotłowniska, do którego dzień w dzień przybywają dzieci z blizszych i dalszych okolic.

Sytuację szkolnictwa w gminie Andrzejów znam od dawna, gdyż od wielu lat współpracowałem ze szczerem harcerskim w Andrzejowie. Szkoła Podstawowa w Andrzejowie jest jedną z trzech szkół działających w gminie Andrzejów. Przepelniona dziećmi uczącymi się na zmiany stwarza wrażenie olbrzymiego kotłowniska, do którego dzień w dzień przybywają dzieci z blizszych i dalszych okolic.

Harcerstwo w Andrzejowie może poszczycić się dużymi osiągnięciami, ale nie jest to bynajmniej zasługą GRN w Andrzejowie. Po prostu trafiło na dobry, podatny i sprzyjający grunt i wspaniałych instruktorów. Duszą działalności szczeru była dyrektor szkoły (obecnie na emeryturze) szczerowa, Harcmistrz Polski Ludowej — Barbara Skrzydlewska.

Szkoła nosi imię gen. Karola Świerczewskiego. Stosunkowo niedawno przekazałem tamtejszemu szczerowi księżkę Karola Świerczewskiego pt. „Boje w Hiszpanii”. Jest to „biały kruk” przetłumaczony z języka rosyjskiego na polski i wydany przez MON jedynie w 3 tysiącach egzemplarzy. Autor tłumaczy z punktu widzenia militarnego walki w Hiszpanii i powody, dla których republika hiszpańska musiała ulec przewadze militarnej faszystów. Książka ta wzbogaciła wiedzę harcerzy i uczniów szkoły o nieznane fakty związane z osobą generała.

Oprócz szkoły w Andrzejowie odwiedzałem dawniej i inne szkoły znajdujące się na terenie tej gminy. Kiedyś, jeszcze przed utworzeniem gminnych szkół podstawowych, czynne były szkoły w Wiśniowej Górze, Stróży i Andrzejowie. Były to maleńkie szkółki, nie zawsze mające sprzyjające warunki do nauki. Po tem wybudowano szkołę na pograniczu Andrzejowa i Wiśniowej Góry. I do niej obecnie uczęszcza sporo dzieci.

Pomysł organizacji zbiorczych szkół gminnych nie okazał się szczęśliwy. Sugerowano wówczas, że tego rodzaju reorganizację i zmiany dadzą duże oszczędności. Ale te sugestie okazały się pienne. Cóż z tego, że zgromadzone dzieci w jednym budynku, kiedy zmuszone są one do przebywania dziesiątków kilometrów do miejsca nauki? Wprawdzie zakupiono pewną liczbę autokarów, a także samochodów ciężarowych, te ostatnie poprzez przebudowę skrzyni nadwozia, dostosowano do przewozu dzieci, ale nie przewidziano jednak, że autokary ulegają wyeksploatowaniu, psują się, że potrzebna jest wymiana ogumienia i części zamiennych. Dochodzą do tego koszty benzyny, oleju i pensje kierowców. Sprawa oszczędności stała się coraz bardziej problematyczna.

Coraz częściej rodzice odnoszą się do sceptycyzmem do codziennych wędrowek swoich dzieci. Stąd bierze się ich aktywność społeczna i inicjatywy budowy szkół we własnej wsi, bądź osiedlu, pragnienie skończenia z wędrowkami po wiedzy do odległych miejscowości, ciągłe oczekiwanie, czy autokar przyjedzie po dzieci, czy też będą one musiały iść do szkoły piechotą (a w miesiącach zimowych nie należy to do przyjemności).

Inicjatywom społecznym budowy szkół we własnych wiejskich środowiskach należy raczej przyklasnąć, a nie obrażać się na to, że to i owo nazwisko zostało pominięte w składzie Społecznego Komitetu Budowy Szkoły.

MIECZYSLAW KOZAK

PYSZNA ZABAWA

W drugi dzień Świąt Wielkanocnych ten hydrant jest przebiegiem wszystkich okolicznych mieszkańców. Z punktu widzenia strategii polewania położony jest nadzwyczaj dogodnie na rogu ul. Wróblewskiej i Bratysławskiej, blisko przystanku autobusowego i tramwajowego. Trudno o korzystniejszą lokalizację. Można z łatwością połać wysiadających z autobusu czy z tramwaju (o czekających na przystanku nawet nie ma co wspominać, bo nikt się nie uratuje) i natychmiast uzupełnić zapas wody. Już od kilku lat przestało to być zabawą, a coraz częściej zdarzają się chuligańskie wybryki. Ludzie z najbliższych domów mówili często, że to łobuzowanie skończy się dopiero, gdy zdarzy się jakieś nieszczęście. No i stało się.

Zaczyna się na ogół niewinnie. Rano spotyka się kilku miłośników tradycji przy hydrancie i wypatrują kogoś połać. Pierwszeństwo do przyniesienia mają oczywiście dziewczyny, kilka wiaderka na głowę i po robocie.

Tymczasem chłopaków przy hydrancie przybywa. Jest ich już nie kilku, ale kilkunastu, w wieku mniej więcej od dziesięciu do dwudziestu lat. Każdy ma przygotowane wiaderko wypełnione wodą i czeka na pojawienie się kandydata do polania.

Milym wydarzeniem jest zawsze przyjazd autobusu lub tramwaju, zawsze można wpaść do środka, wylać zawartość kubła i szybko uciec.

Chłopaków z wiaderkami jest coraz więcej, już co najmniej trzydziestu. Temperatura wśród nich wzrasta, a chętnych do zmożenia coraz mniej. Zmieniają się zatem zasady. Kapiel mają zapewnioną już nie tylko młode osoby, ale ktokolwiek i cokolwiek się rusza.

Zaczyna się polewanie pędzących samochodów, ale to mało satysfakcjonujące przeżycie. Szybko są na ogół zakrecone i woda nie może dostać się do środka samochodu.

Mieszkańcy okolicznych wieśców mogą więc obserwować zafaranki następujące scenki:

Małżeństwo, oboje w wieku około 35 lat, wzięte jakby w „dwa ognie”. Mężczyzna chwytając za ramię wesołka, który przed chwilą wylał na niego swoje wiaderko. Tymczasem z tyłu napada na niego kilku kumpil chłopaka. Mężczyzna przewraca się, jeszcze któryś kopie go na dodatkę. Kobieta pomaga potem swojemu towarzyszowi pozbierać się i wstać.

Jeszcze inny obrazek — starszy pan i dwie starszuszki na spacerze. Pewnie myśleli, że siwy włos i niezbyt pewny krok uchroni ich przed kapielą. Chłopcy jednak decydują, że jak tradycyjnie, to tradycyjnie. Gdy starszuszki spostrzegają, że szykuje się na nich natarcie, próbują ratować się ucieczką. Jednak chłopcy formują grupę pociągową z wiaderkami i biegną za starszuskami. Kto był lepszy w tej gonitwie, wiadomo.

Wiaderkowicze bawią się znakomicie. Czują się zresztą zupełnie bezkarni. Często ktoś z mieszkańców domów lub same ofiary proszą o interwencję milicji. Gdy tylko pojawi się samochód milicyjny pierzchają ze swoimi wiaderkami. Obserwując potem, schowani za blokami, czy samochód już odjechał i wy-

Na kolumnie „Polemiki, listy, opinie” publikujemy tylko listy podpisane imieniem i nazwiskiem, z podaniem adresu. Adres i nazwisko na życzenie zainteresowanego zamieszczamy do wiadomości redakcji. Zastrzegamy sobie możliwość skrótów.

czekują na moment, kiedy znów będą mogli zająć miejsce na posterunku przy hydrancie.

W tym roku znów szykowało się pyszna zabawa. Pierwszy wierny tradycji pokazał się przy hydrancie jeszcze przed godziną dziewiątą. Jak zwykle zaczęło się polowanie na suche dziewczyny i wylewanie wiaderka na ludzi w tramwaju. Ruchy nowo czynności. Wszystko według scenariusza z lat ubiegłych. Zabawa powoli rozkręcała się. Sporo osób z niechęcią patrzyło na harce przy hydrancie, tym bardziej, że od czasu do czasu przenosiły się na ruchliwą ulicę. Nikt chyba jednak nie przypuszczał, że za chwilę stanie się nieszczęście.

Wiaderkowicze upatrzili sobie młodego chłopaka w mundurze Obrony Cywilnej, kilku ruszyło w jego kierunku. Świadkowie wydarzenia opowiadali później, że akurat zmieniła się sygnalizacja świetlna i taksówka, czerwony polonez, ruszyła za skrzyżowania. Chłopak chciał chyba umknąć przed kapielą, wbiegł na jezdnię i znalazł się niespodziewanie na drodze samochodu.

Uderzenie było tak silne, że wyrzuciło go półtora metra ponad samochód. Leżał potem na środku ulicy z tak zakrwawioną głową, że zupełnie nie było widać twarzy.

Wokół zgromadziło się sporo ludzi wstrząśniętych tym, co się stało. Oczekiwali na przyjazd karetki pogotowia i komentowali wypadek. Wielu widząc, że poszkodowanego chłopaka leży zupełnie bez ruchu obawiało się najgorszego. Większość pomstowała na wesołków z wiaderkami: „do kryminalu by ich wsadzić”. Ci tymczasem, kiedy zorientowali się co zaszło, błyskawicznie rzucili się do ucieczki. Schronili się w domach i już do końca dnia żaden nie pojawił się przy hydrancie. Nie było już chętnych na ubaw po pachy.

Pogotowie zabrało ofiarę wypadku do szpitala. Jak się okazało, dwudziestoletni Marek doznał bardzo poważnych obrażeń głowy i złamania uda. Potrzebny był zabieg chirurgiczny. Może ten wypadek ostudzi przesadę przywiązanie do tradycji dyngusowej.

ZOFIA KĘDZIORA

WCZASY W SPALE

Spała. Dom Wczasowy „Rogacz”. Obiekt oddany został do użytku w lipcu ub. roku, po osmiu latach remontu. Remont prowadziła grupa pracowników miejscowego Zakładu Remontowo-Budowlanego FWP i podwykonawcy.

Na pierwszy rzut oka wnętrze budynku sprawia imponujące wrażenie. W holu autentyczny kominek, brązowe szcrapy, panele podświetlane. Korytarze i sale przystrojone są oczywiście rogami, jak przystało na nazwę obiektu, zaliczanego do kat. I.

Nieco gorzej przedstawiają się pomieszczenia użytkowe. O dziwo, przez osiem lat remontu nie zdołano wytępić insektów m.in. karaluchów, które zagnieździły się w starych, ceglanych murach. Sprzyjają temu odpowiednie warunki rozwojowe: wilgoć, zagrybienie i ciepło. Wentylacja w łazienkach praktycznie nie działa. Zapachana. Kafelki układane na „oko”, liczne „wybrzuszenia”, szpary i luki, np. w pokoju nr 3. To widać gołym okiem bez uciekania się do ekspertyz fachowców. Sądzę, że żaden z wczasowiczów nie pozwoliłby sobie na odbiór tak sparanego roboty. Toteż obiekt nie został odebrany przez kierownictwo ośrodka wczasowego, jak zapewnił z-ca kierownika — Ryszard P. Natomiast został zasiedlony i wyposażony w sprzęt i urządzenia. Dzielę się jedynie — dlaczego uzyskał kat. I w obecnym stanie?

W okolicy rozgrzanych rur c.o. z sufitu przecieka izolacja z lepiku i kapie na głowę osobie korzystającej z prysznicu. Pokoje trzyosobowe, stolarka fatalna. Nieszczelne okna i drzwi. Wysoko zawieszane lampy oświetleniowe. Wiele, bardzo wiele usterek natury technicznej. To wszystko sprawia niekorzystne wrażenie na wczasowiczach.

Rekompensatą może być wyżywienie, bardzo obfite, estetyczne podane. Nie można było również narzekać na rozrywkę kulturalną. Ciekawe wycieczki piesze i autokarowe. Wieczorki taneczne w kawiarence „Pod Krasnoludkami”. Doborowa orkiestra. Występy zespołu folklorystycznego z okolic Opoczna mogły podobać się wczasowiczom.

Bywało, że czasami kawiarenkę odwiedzali leżni sportowcy, zgromadzeni w Centralnym Ośrodku Sportu w Spale. Pod bieżącym okiem trenera łączyli stoliki i „trenowali”. Kto więcej wypije piwa oraz szampana... A później dziwimy się wszyscy, dlaczego w sporcie osiągamy mierne wyniki?... Władze sportowe daleko, a piwo blisko, w zasięgu ręki. Dlaczego nie skorzystać z potrzeby ciała...

Cóż, prowincja ma to do siebie, że powietrze jest złe i czyste, ale brakuje rozrywek i aura w tym roku jakaś kapryśna.

W Spale istnieją dwa kioski „Ruchu”. Zaopatrzenie raczej dobre. Ale bywa i tak, że oba kioski stoją zamknięte na cztery spusty przez cały dzień. W poniedziałek np. kioskarki uczelnicy w „ważnej” naradzie w Opocznie. Tak informowały wywiaski. Nie wyobrażam sobie, co by było w Łodzi, gdyby wszystkie kioski były pozamykane z powodu narady w miejscowym Oddziale PUPiK. Ale na prowincji wszystko staje się możliwe i uchodzi. To w pewnej mierze usprawiedliwia pracowników, lecz nie władze w Opocznie. Jakoś trudno nam się odzwyczaić od nasiadówek, narad i odpraw, na których przezwalczyć się drzemie i nudzi.

Sezon wczasowy dopiero rozpoczyna się w Spale. Kto wie, jakie jeszcze niespodzianki czekają na wczasowiczów...?

JAN WIŚNIEWSKI



Masz temat dla reportera?
Coś cię drażni, niepokoi,
szlag cię trafia — podnieś
słuchawkę i wykręć numer: 36-77-70

Na twój telefon czekają redaktorzy:

13 i 14 maja — DARIUSZ DOROŻYŃSKI — godz. 10—12.

18 maja — TERESA JERZYKOWSKA — godz. 10—16

19 maja — RYSZARD BINKOWSKI — godz. 10—16

21 maja — EUGENIUSZ IWANICKI — godz. 10—16

Dzielo to, będące u-
wienieniem wszy-
stkich życiowych i
pisarskich do-
świadczeń, Borys
Pasternak zaczął
zwyckim zakoń-
czeniem II wojny światowej,
kiedy to, według jego słów,
„zwytył cały naród, wszyscy-
kie jego warstwy, radości,
smutki, marzenia i myśli. Zwy-
cięzyła różnorodność... Duch
rozumu i wspólnoty zaczyna
przenikać działalność wszy-
stkich, jest on i w naszych
skromnych poczynaniach”.

Wbrew oczekiwaniom lata
powojenne stały się, jak wiado-
mo, okresem wyjątkowo
twardego kursu administracyj-
nego i ideologicznego. Znalaz-
ło to odbicie w twórczej bio-
grafii Pasternaka. Wydany w
1945 roku mały tomik jego
wierszy wybranych pozostał
jedyną publikacją, która uka-
zała się za życia pisarza. Pas-
ternak zmuszony był utrzymy-
wać się z tłumaczeń, co wy-
dłużało czas pracy nad po-
wieścią do dziesięciu lat.

Pierwsze z publikowanych
listów adresowane są do
Olgi Michajłowny Freudenberg,
stryjczyńskiej siostry pisarza.
Przeżyła ona blokadę Lenin-
gradu, i po śmierci matki zo-
stała sama. Profesor, znawczy-
ni literatury antycznej, klie-
rownik katedry Uniwersytetu
Leningradzkiego, stworzyła w
tym okresie swoje najlepsze
prace. Jej korespondencja z
Pasternakiem była dla obojga
duchowym oparciem w tam-
tych trudnych czasach.

Na początku 1946 roku Pa-
sternak pisał:

„Olu, Olu, Olu, co to jest,
kiedy się skończy? Nie pi-
szę do Ciebie, bo nie mam kie-
dy. To nie życie ani wynika-
jące z niego kłopoty, pogania-
ją mnie sprawy mniej sła-
chetne i prawdopodobnie do-
syć zabawne. Teraz, gdy całe
to nieporozumienie i skandal
wokół mojej osoby tak się roz-
niosły, rzeczywiście pragne
stać się człowiekiem! I głupio
tędzę się nadzieję, że zdołam
naprawić, usprawiedliwić wszy-
stkie te swoje niedomówienia
i niedoróbki. Pierwszy raz w
życiu mam ochotę napisać coś
naprawdę prawdziwego. Och,
nie wyobrażaj sobie nawet,
jak wielo jest wienię życia,
jak szczerze i łaskawe jest ono
wobec mnie. I jak mało jest
czasu, jak dużo trzeba nadro-
bić, nadgonić!”

Ty i Szura musicie długo
żyć, i być gdzieś blisko mnie.
Nie mogę sobie wyobrazić, co
mogłoby dać ci z siebie, żeby
nie było ci tak ciężko i samot-
nie. Powinnaś przez cały czas
być z nami, i wtedy albo byś
została, albo zabrałabyś ze so-
bą coś, od czego byłoby Ci le-
piej i jaśniej, bo mnie jest
przecież tak lekko (na duszy,
nie w sensie materialnym), tak
niezastępnie dobrze! Wybacz,
być może czegoś nie zrozu-
miesz i obrazisz się, albo od-
bierzesz to jako przypływ za-
ślepienia, ponieważ współ-
czującego samouchwalstwa,
puszenia się! Co za nieszcze-
ście! Jak Ci to wszystko wytłu-
maczyć, i to szybko? Sciskam
Cię, sciskam! Zalatuj jakoś i
zorganizuj wszystko tak, żeby
lato, jeśli Bóg zachowa nas
przy życiu, spędzić razem z
nam.

W moim życiu nie ma teraz
żadnych przymusów, koniecz-
ności. Stałem się nagle stra-
żniewolny. Wszystko doko-
ła jest takie swoje. Atmosferę
tę szczególnie mocno czuje się
latem, na dachy. Mieszkają u
nas Asmusowie, Szura z Iriną,
bywał też Zina. Wysłają go
do Leningradu, zjadzie do Cie-
bie”.

Dalsza część listu to dopi-
sek Zinaidy Nikołajewny Pas-
ternak z zaproszeniem do Pie-
riedielkina na lato. W liście
wymienieni są też Aleksander
Leonidowicz Pasternak (Szura),
jego żona Irina Nikołajew-
na, rodzina profesora historii
filozofii W. F. Asmusa, i star-
szy syn Jewgienij Pasternak.

Sierpień 1946 roku niesław-
nie zapisał się w pamięci zna-
ną decyzją „O czasopiśmie
„Gwiazda” i „Leningrad”. Cha-
rakterystyczną atmosferę pracy
na Uniwersytecie, Olga Freu-
denberg w swojej odpowiedzi
zacytowała słowa Triepiewa z
„Mewy” Czechowa: „Wy, ruty-
niarze, zagarnęliście, pierw-
zeństwo w sztuce, i uważacie
za dozwolone i za prawdziwe
jedynie to, co robicie sami, a
wszystko inne tłamsicie i dła-
wicie!” (fragment w przekła-
dzie A. Sandaury).

5 października 1946

Droga Olu!

Jak Twoje sprawy i zdra-
wie? I ja, i Zina mieliśmy la-

tem pewną, choć niewielką
nadzieję, że przyjeżdżesz. U
nas przez cały czas było dużo
ludzi. Szura z Iriną, mnóstwo
różnej młodzieży, a my ciągle
trzymałymi pokój dla Ciebie,
albo góry oszklony taras.

Wybacz, że nie pisałem do
Ciebie. Pracowałem ostatnio z
nadzwyczajnym, wyjątkowym
powodzeniem, zwłaszcza wio-
sną i latem. Musiałem napisać
wstęp do tomu moich pięciu
przekładów Szekspira, i nie
wierzyłem, że będę w stanie
temu poddać. Zdziwiałem się,
ale udało mi się to. Na trzy-
dziestu stronach zdołałem po-
wieścić to, co chciałem o poezji
w ogóle, o stylu Szekspira,
o każdej z pięciu przeło-
żonych sztuk, i o niektórych
problemach związanych z Szek-
spiarem, o poziomie ówczesne-
go wykształcenia, o wiarygodno-
ści biografii Szekspira. Egzem-
plar artykułu znajduje się w
waszej nieszczęsnej „Gwieź-
dzie” czy w „Leningradzie”
(tj. w redakcjach) u Sajano-
wa, albo u Lichaczowa, jeżeli
dotrzesz do nich przez jakichś
wspólnych znajomych, to wy-
dobądź go, proszę. Chciałbym
żebyś to przeczytała — choć z
taką samą prośbą zwróciłem
się już do Achmatowej i Olgi
Bergholtz.

A od lipca zacząłem pisać
powieść „Chłopcy i dziewczę-
ta”, która w dziesięciu rozdzia-
łach powinna zaurzędzić czter-
dzieści pięć lat, od 1902 roku
do 1946, i z dużym zapalem
napisałem już jedną czwartą
czy jedną piątą zaplanowanej
całości. To bardzo poważna
praca. Jestem już stary, być
może wkrótce umrę, i nie mo-
gę odkładać w nieskończoność
swoich prawdziwych myśli. Tegoro-
czna moja praca — to pierwsze
kroki na tej drodze, i to
niezwykle. Nie można
w nieskończoność — ma-
jąc trzydzieści lat, czter-
dzieści czy pięćdziesiąt sześć
— żyć tym, czym żyje ośmio-
letnie dziecko: biernymi ozna-
kami własnych zdolności i do-
brym traktowaniem przez in-
nych — a przecież całe życie
minęło, trzymając się tego z
konieczności skromnego pro-
gramu.

Początkowo wszystko to
„działające się obecnie” wokół
mojej osoby ani trochę mnie
nie obeszło. Siedziałem w Pie-
riedielkinie i pracowałem nad
trzecim rozdziałem mojej epi-
ki.

Lecz oto Zina zaczęła coraz
częściej wracać z miasta mro-
czna, nieszczęśliwa, cierpiąca i
postarzała, została urażona w
swej dumie ze mnie i tylko z
tego względu wszystkie te nie-
przyjemności dotknęły również
i mnie — ze względu na Zinę.
Na kilka dni w końcu wrze-
nia terazniejszość i przyszłość
(głównie w sensie material-
nym) zaczęły wyglądać ponu-
ro. Wróciłmy do miasta w
niepewności, jak też ułoży się
ten rok pod tym względem.
Obecnie myślę jednak, że
wszystko będzie dobrze. Od-
zyskałem znów uczucie pełni
szczęścia i wiary w nie, a
więc to, co przepełniało mnie
przez cały ostatni rok. I przed
ponownym przystąpieniem do
pracy (postanowiłem dzisiaj
znowu się do niej zabrać) chcę,
póki jest czas, przekazać Ci
wiesci o nas.

Cała ta „kampania” z pew-
nością uderza i w Ciebie, i
masz większe nieprzyjemności.
Jakie to wszystko znajome i
głupie, jak już obrzydło! Bar-
dzo słusznie zacytowałaś wtedy
Triepiewa z „Mewy”.

Caluję Cię mocno. Zina prze-
słała ukłony i też Cię caluje.
W ostatniej chwili postanowi-
łem postać Ci jednak ten arty-
kuł — jedyny, na wół zatarty
egzemplarz, jaki mam. Jeżeli
po lekturze uchowają się jesz-
cze jakieś ślady liter, daj to
do przeczytania komukolwiek.
I jeszcze ja, Lenia, Zina i
pracownica Ola w różnych
kombinacjach (do listu doła-
czone były zdjęcia Pasternaka,
jego żony i syna Leni).

Twój B.
Napisz jak Twoje zdrowie.
Czy masz mój przekład „Otel-
la”?

13 października 1946

Droga Olu!

Napisałem do Ciebie, i tego
samego dnia zachorowałem na
anginę, przeleżałem kilka dni.
Jestem obecnie w fatalnym
nastroju — to jeden z tych
długotrwałych okresów, które
kilkakrotnie już trafiały mi się
w życiu, teraz jednak łączy się
to z autentyczną starością, a
prócz tego przez ostatnie pięć
lat tak przywykłem do zdro-
wia i powodzenia, że zacząłem
uważać szczęście za należyty,
nieodłączny i stały element ist-
nienia.

W jednej dziedzinie posta-
ram się wziąć w garść — w
pracy. Mówiłem Ci już, że za-

cząłem pisać dużą powieść.
Właściwie to moja pierwsza
prawdziwa praca. Chcę w niej
ukazać historyczną panoramę
Rosji w ciągu ostatnich czter-
dziestu pięciu lat, i to poprzez
całą fabułę, ciężką, smutną i
opracowaną w najmniejszych
szczegółach, jak u idealach —
u Dickensa, u Dostojewskiego
— cała rzecz będzie wyrazem
moich poglądów na sztukę, na
Ewangelię, na życie i miejsce
człowieka w historii i na wie-
le innych spraw. Książka na-
zywa się na razie „Chłopcy i
dziewczęta” (...).

Paczki ze zdjęciami, książka-
mi, itd. nie wysyłałem sam, da-
łem to do wysłania naszej li-
stoszonosce, więc gdy to dosta-
niesz nie pisz długiej odpowie-
dzi, daj tylko znać o swoim
zdrowiu, i jak żyjesz.

Caluję Cię. Niewesoło mi.
Twój Boria.

29 lipca 1948 r.

Droga Oluszk! Jakże to
gorzkie, że dramaty rodzinne
tak się powtarzają! Teraz Ty
karzesz mnie milczeniem, a
może nawet zupełnym wygna-
niem ze swego serca za mój
egoizm, za to, że moje uczucia
to tylko „słowa, słowa, słowa”.

takim powinienem być, albo
raczej, lepiej byłoby mi być
w wieku osiemnastu czy dwu-
dziestu lat, ale wtedy byłem
skrepowany, wtedy w czymś
ważnym nie zrównałem się je-
szcze ze wszystkim na świe-
cie, i nie znalazłem tak dobrze
jak dziś języka życia, języka
nieba, języka ziemi.

Wszyscy jesteśmy żywi i
zdrowi, Żenia z Zenieczką
(J. W. Pasternak — pierwsza
żona Pasternaka — przyp. red.)
rodzina Szwagra, wszystko u
nas w porządku.

Zaszczyć mnie, proszę, choć
dwoma słowami od siebie (nie
trać czasu na długie listy). O-
garnia mnie nie wiadomo dla-
czego jakaś straszna trwoiga o
Ciebie, chciałbym, aby ktoś
wyprowadził mnie z tego bra-
ku wiadomości (czy nadal pra-
cujesz na uniwersytecie?), i z
góry boję się tego.

Twój Boria

30 listopada 1948 r.

Droga moja Oluszk!

Jak zadziwiająco napisałaś!
Twój list jest tysiąc razy lep-
szy i większy od mojego rękopi-
su. A więc zrozumiałaś? To

losach Cwietajewej, nadzw-
yczaj utalentowanej, nadzw-
yczaj utalentowanej, śmiały,
wykształconej, doświadczonej
przez całą naszą „epikę” bli-
skiej mi i drogiej, która wró-
ciła z tak bardzo daleka po-
to, by na początku wojny w
zupełnym zapomnieniu powie-
ścić się w jakiej zapadłej dziu-
rze.

Często życie wokół mnie by-
wało rewolucjonizujące, wzb-
rząca mroczne i niesprawied-
liwe, i to powodowało, że sta-
wałem się czymś w rodzaju
mściciela tego życia, obrońcą
jego czoł, wojowniczo wytrwa-
łym i nieugiętym, i to przy-
sparało mi sławy i szczęścia,
choć w istocie cierpiełem jedy-
nie z innych i odplącałem za
nich.

Tak zmarł Rilke w kilka
miesięcy po tym, jak nawiąza-
łem z nim korespondencję, tak
utraciłem swoich gruzińskich
przyjaciół (Tycjana Tabidze i
Paolo Jaszwilli — przyp. red.),
i coś w tym rodzaju — Ty,
nasz powrót z Merrekluja la-
tem 1910 Wruda, Pudost, Tiko-
pis (w korespondencji Pastern-
naka z O. Freudenberg nazwy
stacji Kolei Bałtyckiej stały
się symbolami ich młodzieńczej
miłości — przyp. red.), i coś

i miał własność wydzielania
ciepła, miałabyś prawo trakto-
wać go jako coś niepotrzebne-
go, co wtargnęło z zienacka, i
nie chciał by w ogóle istniał.
W takich okolicznościach i sta-
nie pracuję teraz nad „Fau-
stem”.

Wszystkiego najlepszego. Sci-
skam Cię mocno i caluję. Zau-
ważam mam w pamięci Twoją
teorię porównań, to właśnie
coś z tych rzeczy.

Bądź zdrowa.

Twój B.

W tych latach ustalił się
szczególny porządek, w którym
Pasternak obok dużych prac
przekładowych z samozapa-
rtem pisał swoją powieść.

W październiku 1952 roku
pisarz przeszedł ciężki zawał
serca. Po dwóch miesiącach
pobytu w szpitalu wyjechał do
sanatorium do Bolszewa. Tam
otrzymał list od swojego daw-
nego przyjaciela W. F. Asmu-
sa, i 3 marca 1953 roku odpo-
wiedział mu:

Drogi Walentynie Fiodoro-
wicz!

Nie jestem w stanie wyra-
zić, jak bardzo mnie Pan
wzruszył i jaką napęlił dumą,
pisząc w liście o pewnych rze-
czach tak głęboko, mocno i

Jak powstał „Doktor Żywago”

(Listy Borysa Pasternaka)

„literatura”, że gdyby wszy-
stko było prawdziwe, to wyra-
ziłbym swoją miłość czynami,
a nie wdychaniem na popie-
rze.

1 października. Oluszk! Ma-
ją, oto początek mojego wio-
senego listu do Ciebie, który
przerwałem po dwóch słowach
uświadomiwszy sobie jego pra-
wopodobną nieprzydatność, w
dodatku zwielokrotnioną przez
wieczny pośpiech. Zostałem
wtedy w mieście (Zina była
już na letnisku), tak jak teraz
z tego samego powodu utkną-
łem samotnie w ogromnej i
pustej daczce. Kończyłem
wtedy pierwszą część mojej po-
wieści i równocześnie krajałem i
przerabiałem siedem przeło-
żonych dramatów Szekspira, nad-
syłanych z różnych wydaw-
nictw, usiłując dogodzić sprze-
cznym życzeniom niezliczonych
redaktorów.

Teraz z takim samym szalo-
nym pośpiechem tłumaczę
pierwszą część „Fausta” Goet-
hego, aby dzięki temu uzyskać
możliwość kontynuowania i być
może zakończenia w zimie po-
wieści, pracy zupełnie bezinte-
resownej i nieopłacalnej, jako
że powieść nie jest przezna-
czona do druku na teraz,
współcześnie. Powiem więcej,
nie piszę jej jako dzieła sztuki,
choć w sensie ogólnym jest
w tym więcej beletrystyki niż
we wszystkim, co napisałem
dotychczas. Nie wiem, czy na
świecie istnieje jeszcze sztuka
i czym ona jest. Są ludzie,
którzy bardzo mnie lubią (bar-
dzo ich niewielu), i moje
serce ma wobec nich dług. To
dla nich piszę tę powieść, pi-
szę jak długi list w dwóch
częściach. Rad jestem, że
pierwszą doprowadziłem do
końca. Chcesz, to przysyła Ci
kopię na dwa tygodnie lub
miesięcie. Ciężko tylko będzie
Ci czytać (w celu bardziej wy-
razistego i przejrzystego wy-
puklenia istoty chrześcijaństwa
zasady antyku doprowadzone
są do wręcz karykaturalnych
uproszczeń).

Okaz litości, wybacz mi, je-
śli w czymś zawiniłem wobec
Ciebie, i napisz coś o sobie,
albo poproś kogoś, może Ma-
szurę (M. A. Markowa — cio-
tecna siostra Pasternaka ze
strony matki — przyp. red.).
Kocham ją nie mniej niż Cie-
bie, to, że piszę do Ciebie, a
nie do niej, niczego nie ozna-
cza, tak jak z różnych przeja-
wów mojego postępowania nie
wynika nic faktycznego i ro-
zumnego. Niech ktoś da mi
znać o Tobie, czy żyjesz, jak
Twoje zdrowie, i czy nie po-
trzebujesz pieniędzy. Rok za
rokiem haruję jak katorżnik,
i zawsze mi wszystkim: Ziny,
Ciebie, Leniczki, kilku Twoich
imienniczek i nieimienniczek
straszenie żal, jak gdyby wszy-
scy dookoła byli nieszczęśliwi,
i tylko ja jeden pozwałam so-
bie na bycie szczęśliwym, i
poprzez to ciągle wszystkim,
których wymieniałem. Rzeczy-
wiście, jestem do szaleństwa
niewyobrażalnie szczęśliwy
przez ogromną, nieograniczoną
wolność związków z życiem,

nie lęk przed śmiercią, a świa-
domość bezpłodności najlep-
szych zamiarów i dokonań,
najlepszych rękopisów i wynika-
jąca z tego chęć uniknięcia
nauwości, pójsia słuszną dro-
gą z tym, że jeżeli coś już ma
przeżyć, to żeby przeżyć do
bezbiednie, żeby zginąć nie z
winą błędów, popełnionych
przez Ciebie. Nie łam sobie
głowy nad tymi słowami. Je-
żeli ich nie rozumiesz, to le-
piej.

Często mówisz o wieżach
krwi, o rodzinie. Wyobraź so-
bie to było jedynie proscenium
widzianego, miejscem najwięk-
szego skupienia całego drama-
tu, w zasadzie bardzo jedno-
rodnego. Dla mnie wstrząsem
był papa (malarz L. O. Pas-
ternak — przyp. red.), jego
blask, jego fantastyczne wła-
danie formą, jego oko, jak
prawie u nikogo innego spo-
ród współczesnych, lekkość je-
go mistrzostwa, łatwość, z ja-
ką potrafił pracować nad kil-
koma rzeczami naraz, i obok
— to niewspółmiernie małe
uznanie, potem nagle powtó-
rzyło się to, (ten wstrząs) w

w Twoim życiu, co pozosta-
ło dla mnie wiecznym dowodem.
Wobec wszystkich jestem wi-
nien. Cóż jednak mam zrobić?
A więc powieść to część tego
mojego długu, świadectwo, że
choć trochę się starałem.

Wybacz, że w pośpiechu zwa-
liłem na Ciebie tyle głupstw,
tylko w przybliżeniu prawdzi-
wych. Z ich powodu należało-
by właściwie zacząć nowy list,
i podrzeć ten, ale kiedyż go
napisz?

Wstrząsająca jest bliskość
Twojego pojmowania, błyska-
wicznego, tak pokrewnego, o-
ceniającego z taką pewnością,
tak rozumiała tylko Marina
Cwietajewa, i rzadko, z cha-
rakterystycznymi dla niego od-
skokami od sensu i rzeczywisto-
ści — Majakowski — to na-
wet dziwne, że go w ogóle
wymieniłem.

Rękopis możesz dać do prze-
czytania komu zechcesz. Gdy
przestaniesz być Ci potrzebny,
prześlij go tak jak proponu-
ję. Dzięki, że mimo nawału
zająć przeczytałaś go. W tych
warunkach, nawet gdyby rękopi-
s fosforował w ciemności

wprost, i ukazując je, rzecz mo-
żna, w ich naturalnej wielko-
ści. Mam ogromny dług wobec
Pana. Jakże mam Pana wynag-
rodzić, i co Panu odpowie-
dział?

Przed wyjazdem doczytałem
do końca Pańską „Filozofię
starożytnej Grecji”. Nigdy je-
szcze nie czytałem o Platonie
niczego równie jasnego, poru-
wiającego i wyczerpującego. U-
dał się Panu w niebawym,
godny zazdrości sposób. Za-
wyczaj gwoździł jasności i ro-
zumiałości (oddania myśli) mo-
dernizowano Platona tak jak
Natorp, czy niektórzy współ-
cześni historycy filozofii, albo
podawano go jako powieść zło-
żoną z pojęć, interesującą, lecz
wymykającą się logicznej my-
śli jak wielowątkowa baśń. U
Pana zaś teleologiczna koncep-
cja całości jest tak zwięzła i
przejrzysta, i tak precyzyjnie
wynika z poszczególnych czę-
ści, że wszystko wyjaśnia. Przed
powrotem do Moskwy raz je-
szcze przeczytałem te strony.

Proces wartkiego i natural-
nego poznawania tej najbar-
dziej skomplikowanej, śmiałej



Na zdjęciu: Stoją od lewej: Tomiżi Haito — japoński pisarz, Borys Pasternak, Sergiusz Eisenstein, Olga Tretjakowa, Lili Erik i Włodzimierz Majakowski. Zdjęcie pochodzi z archiwum „Pravdy” i było reprodukowane przez „Ogoniok”.

i systematycznej myśli w całej historii i filozofii dzięki Pańskiemu dziełu dostarczył mi żywej i niezapomnianej przyjemności.

Czuję się lepiej. Zaczęłam pracować, zasiadłam do zakończenia „Żywago”.

Po przyjeździe tutaj przypomniałem sobie, jak spędziłem tu miesiąc w 1935 roku, i że jakos tak zimno tuż przed wojną, czy też już podczas niej, był Pan tu wraz z Irią Siergiejewną (pierwsza żona Asmusa — przyp. red.). Wspomniała mi o wrażeniu świeżości powietrza przy przechodzeniu z Waszego budynku do jadalni i na spacerach. Mówiła, że na ganku stała kwił słup chłodnego powietrza, i nieporuszenie czekała na każde otwarcie drzwi.

Umieszczono nas w tym samym budynku, w którym mieszkaliśmy wtedy, prawie w tym samym pokoju. Z okna widzę zaspany śniegiem domek, z którego wychodziła wówczas w białym fartuchu i z papierosem w palcach Zinaida Władimirowna Kurwic. Chcę do niej stać napisać.

Byłem wtedy o osiemnaście lat młodszy. Majakowski nie był jeszcze bożyszczem, mnie rozpieszczano, wysyłano za granicę, nie było taktyki bzdury ani paskudztwa, których bym nie napisał, i których by od razu nie wydrukowali, na nic nie chorowałem i byłem przy tym wszystkim niepoprawnie nieszczęśliwy, i ginąłem jak zacięty przez zło ducha z basni. Pragnąłem czystymi metodami i naprawdę zrobić coś dla otoczenia, które poblaździło mi, zrobić coś, co zastawiaj można zrobić tylko poprzez fałsz. Było to zadanie nie do rozwiązania, kwadratura koła, rozbiłem się o niewykonalność zamiarów, które przesłaniały mi wszystkie horyzonty i zamykały wszystkie drogi, wariowałem więc i ginąłem. To zadziwiające, że ocalałem, powiniennem umrzeć wtedy jak Adik (Adrian Nejhausz — syn Z. N. Pasternaka, zmarł w 1945 r. — przyp. red.).

A teraz mam chorobę serca, realną, nie wymyśloną, znalazłem się za burtą, pozbawiony czoł, wszystkie znaki zmieniły się, plusy stały się minusami, lecz ja jestem szczęśliwy i wolny, wesół, zdrowy i dziarski, i z zupełną łatwością siadam do nikomu nie potrzebnego, nierozdzielnego ze mną „Żywago” przy tym samym oknie, które osiemnaście lat temu było dla mnie matnią, i przy którym niczego wtedy nie mogłem, i nie wiedziałem co robić.

Wszystko to chciałem powieścić Panu osobście. Zna Pan jednak tutejszy telefon. Zawieszę stół przy nim kolejką. A przy świadkach zagłębienie się w takie tematy wyglądałoby dziwnie i śmiesznie. Oto dlaczego piszę.

Serdeczne pozdrowienia dla Ariadny Borysowny (żona Asmusa — przyp. red.). Ciałuję Pana.

Pański B. P.

Powieść została zakończona zimą 1955/56. Był to okres powszechnej odnowy i nadziei, i to, co wcześniej nie mogłoby ukazać się drukiem, nagle stało się faktem. Rękopis powieści trafił do redakcji czasopisma „Nowy Mir”, z którym Pasternak związany był wczesniejszymi umowami. Przewidywano, że wydanie książkowe ukaże się w Gosiłtadzacie. Realizacja tych planów przeciągała się jednak, a potem została wstrzymana, gdyż niektórzy wpływowi pisarze wypowiedzieli się przeciwko opublikowaniu książki, co znalazło wyraz w głośnym później „Liście członków kolegium redakcyjnego „Nowego Mira”. W tym czasie powieść ukazała się we Włoszech. Wydanie jej stało się przedmiotem dyskusji w Zarządzie Związku Pisarzy i rozmów w kręgach literackich. Ustaleniowa poetka Helena Aleksandrowna Błaginnina przesłała na ręce Pasternaka list ze słowami poparcia i otuchy. Pisarz odpowiedział jej z wdzięcznością;

16 grudnia 1957 r.

Droga Helena Aleksandrowna, jakże mnie wzruszyły Pańskie słowa, Pani troska i niepokój! Wiosną i latem ciężko chorowałem, długo leżałem w szpitalu, ale od tego czasu, chwała Bogu, czuję się bardzo dobrze.

Miałem pewne nieprzyjemności, wywierano na mnie pewien nacisk moralny, odpychający w swej obłudzie — częściowo musiałem mu się podporządkować. Musiałem wziąć udział w próbie niedopuszczenia do ukazania się powieści gdzieś tam daleko, w formie

tak nieprawdopodobnej, że próba ta z góry skazana była na niepowodzenie.

Mówią, że powieść wyszła po włosku, wkrótce ukaże się po angielsku, a potem po szwedzku, norwesku, francusku i niemiecku, wszystko w ciągu jednego roku.

Nie wiem, czy wiadomo Pani, że mniej więcej rok temu Gosiłtadzad podpisał ze mną umowę na wydanie książki, i gdyby rzeczywiście wydano ją w skróconej i ocenzurowanej wersji, uniknąłbym połowy kłopotów i nieprzyjemności. Jednak nawet i teraz, gdy rozdmuchując znaczenie powstałego zamieszania sami podsycają raban, jaki z powodu tego wydarzenia podniósł się w różnych zakątkach świata, nawet teraz wydanie powieści u nas, choćby w jawnie ocenzurowanej formie, wnosiłoby w całą historię trochę uspokojenia i ciszy. Tak w dwóch znacznie różniących się wersjach ukazało się „Zmartwychwstanie” Tolstoj, i mnóstwo innych książek u nas i za granicą przed rewolucją, i nikt się niczego nie bał, nie wstydział, i wszyscy spali spokojnie, a domy się jakoś nie waliły. Casy czas przedstawiam te argumenty, i cały czas je powtarzam, ale do nikogo one nie przemawiają. Poza tym nie jest jeszcze za późno i na coś innego, i też stale o tym przypominam. W każdym kraju, w którym ukaże się powieść, są przecież rewolucyjni pisarze — komuniści, Aragon, Becker i inni. Teraz ich zadaniem będzie przeczytać tę obcą ideową powieść, dokonać krytycznej analizy, wykazać nędzę zawartych w książce myśli, jej artystyczną bezwartościowość, i w ten sposób zdemaskować ją i unieszkodliwić. Ale nawet i tej zdrowej rady nikt nie słucha. (Zaden z wybitnych przedstawicieli inteligencji zachodniej wbrew obawom Pasternaka nie wziął udziału w kampanii, mającej zdyskredytować powieść. Przeciwnie, wielokrotnie wyrażał swe poparcie dla pisarza i popularyzowali go — przyp. red.).

Nie wiem, co mnie czeka — pewnie od czasu do czasu będą mnie spotykać jakieś następujące jedna za drugą niepodziękanki, ale ile by ich nie było, i jak by nie były ciężkie, czy nawet przerażające, nigdy nie przeważą tej radości, której nie odbierze mi żadna moja wymuszona obłuda, ani tego, że ślepym zrządzeniem losu było mi dane szczęście możliwości pełnego wypowiedzenia się, że to, co w nas najlepsze, a co przywykliśmy tak łatwo poświadczać — artysta — w moim przypadku nie został zdeptyany i unicestwiony.

Ciałuję Pani dłoń, Pani — bliskiej, milej — dziękuję.

Pański B. P.

W trudnym dla Pasternaka okresie H. A. Błaginnina przesłała mu życzenia noworoczne na rok 1959, a po roku — życzenia z okazji 70 urodzin. 24 lutego 1960 r., na trzy miesiące przed śmiercią, Pasternak odpisał jej:

Droga moja Helena Aleksandrowna, czyżbyś wtedy Pani nie odpowiedział? Tak byłem pewien, że pisałem (i tym pragnieniem podziękowania Pani tak mocno tkwiło we mnie), że czytając Pani dzisiejsze życzenia szukałem wzmianki o tym, jak się okazało, nie istniejącym choć zaplanowanym liście, który w pamięci pozostał jako coś co istniało naprawdę.

Słusznie mnie Pani kocha; to tylko naturalne okazanie wzajemności. Wie Pani przecież, że jak cudowna zjawiska Panią uważam.

„Mielo, mielo po wstępiem” chyba rzeczywiście napisałem w 1946 roku. W każdym bądź razie nie później niż w 1947.

Cóż jeszcze mam Pani powiedzieć. Jeżeli ze mną wszystko to (u nas) dobrze się skończy, to będzie znak, że była to bajka. Nie byłam przygotowany na taką bajkę. Na razie w miarę sił daję sobie jakoś z nią radę.

Dziękuję za pozwolenie uścisnąć Pani, i z wdzięcznością z tego korzystam.

Pański B. Pasternak

Komentarze i publikacja L. B. Pasternaka. Wg tyg. „Ogoniok” nr 16/1987

Przełożył: MICHAŁ B. JAGIELŁO

Anglicy nazywają go „Kanałem Angielskim” — Francuzi „Kanałem La Manche”. Węgrzy drukujący samochodowe mapy poszli na kompromis i błękitną wstęgą oddzielającą Europę od Anglii zatytułowali: „Angielski Kanał La Manche”. Najpopularniejszym sposobem sforsowania go jest przeprawa promowa, która łączyła kilka portów francuskich, belgijskich, holenderskich i hiszpańskich Santander z Wyspą, z Dover do Calais i z powrotem można się dostać promami kompanii Townsend Thoresen za niecałe 8 funtów — to jest za równowartość wynagrodzenia za dwie-trzy godziny pracy. Można też przy różnego rodzaju okazjach przeprawić się po zakupy do Francji, jeszcze taniej, ale już do Paryża i z powrotem bilet autobusowy wraz z podróżą promową kosztuje 36 funtów.

PODRÓŻ PROMEM MOŻE BYĆ NIEBEZPIECZNA

W sobotę rano pakowałem torbę podróżną, a za moimi plecami brzęczał któryś z programów telewizji brytyjskiej. Dopiero po dłuższej chwili doszły do mnie słowa o tragedii, jaka wydarzyła się w belgijskim porcie Zerbbrugge. Torba do połowy zapakowana stała nie opadała, a ja w milczeniu przyglądałem się ogromnemu promowi pasażerskiemu, który jak dziecięca zabawka przewrócony był na jedną burtę. Telewizja nie szczędziła dramatycznych informacji niemalże z pierwszej ręki. Wywiad z łkającą kobietą, która straciła całą rodzinę. Jej udało się cudem uratować.

Przeszedłem się na drugą stronę statku, żeby kupić dwa piwa, dla mnie i dla mojej dziewczyny — mówi dwudziestoparoltni chłopak — poszedłem do baru, gdy butelki zaczęły sypać mi się na głowę. Świat stanął do góry nogami. Uciepiałem się o

Wybieram się w podróż przez kanał La Manche. Tragedia w porcie Zerbbrugge. Mój polski paszport budzi sensację i zmusza mnie do dodatkowych wyjaśnień. Zemsta francuskiego celnika. Być w Paryżu i nie spacerować się po Champs Elysées?

Brali mnie za groźnego terrorystę

MAREK BRZEZIŃSKI

kienka, które nagle znalazło się nad moją głową. Moja dziewczyna została po drugiej stronie burt. Już jej więcej nie zobaczyłem. Wybiliśmy szybę i wydosłaliśmy się na zewnątrz, skąd zabrali nas ratownicy.

Komentatorzy gubią się w domysłach, pytają ekspertów. Jeszcze nie znane są przyczyny tragedii. Komputer rysuje na ekranie szczegółową analizę zdarzeń, jakie prawdopodobnie się rozegrały. Nieprawdopodobnie umocowanie kontenerów, samochodów i ładunków? Dziura w burcie, która powstała wskutek uderzenia o jedno z nadbrzeży portu? Zerbbrugge uchodził za bardzo trudny do manewrowania port, ale przecież kapitan i oficerowie „Herald of Free Enterprise” nie pierwszy raz zawijali do Zerbbrugge i wypływali stamtąd. Wier? może nie domniemanie, ogromne drzwi, przez które woda wdarła się do środka?

Rad niera, muszę zarzucić torbę na ramię i gnać na Victoria Station, skąd odchodzi autobusy linii Londyn-Paryż. Podjeżdżam do kłifowego wybrzeża. To już Dover. Ogromne przestrzenie wybetonowanych podjazdów, rampy prowadzące wprost w otwarte paszce kilkunastu promów. Ogromne przybicie burt uniesione — czy tym razem będą wystarczająco szczelne?

MÓJ PASZPORT BUDZI SENSACJĘ

Odprowa paszportowa przebiega nadzwyczaj sprawnie. Urzędniczka emigracyjna jednym ruchem otwiera różnokolorowe książeczki paszportów i prosi następną osobę. Waż podróżyżnych zatrzymuję się na minę.

Proszę wypełnić te formularze — otrzymuję polecenie. — Ile razy będzie pan przekraczał granicę Zjednoczonego Królestwa proszę tego dopełnić.

Pytania — gdzie mieszkam w Anglii, co robiłem, jaki jest mój zawód. Pasażerowie w autobusie czekają cierpliwie, aż opuszczę budynek odprawy paszportowej i przyglądają mi się ciekawie: kto zacz? Wiadomo, w jakich czasach żyjemy — może to jakiś poszukiwany terrorysta? Ta historia powtarza się na granicy francuskiej i oczywiście przy powrocie do Anglii. Mój granatowy paszport wzbudza za każdym razem duże zainteresowanie urzędników i funkcjonariuszy Policja Nationale. Przez ogromne, oszklone okno widzę, jak jeden z pracowników pisze coś zawzięcie, ślepiąc nad moim paszportem, a drugi wertuje kartotekę. Chyba cały paszport przepisał. W autobusie oddający mi paszport policjant francuski jest nadzwyczaj grzeczny.

Proszę uprzejmie, oto pański dokument, ale proszę jeszcze o szczegółowe dane, gdzie pan mieszkał, jaki był cel pańskiej wizyty, adres rodziny w Paryżu.

I znów towarzyszy temu przesłuchaniu zdumione milczenie współtowarzyszy podróży. A nie dąłoby się tak chociaż raz bez tych przepytwań, wsadzić paszport do kieszeni i z uśmiechem błogosławieństwa na drogę do panów na granicy ruszyć w podróż?

Gdy stałem w kolejce po wizę francuską, obok Amerykanów, Australijczyków, Nowozelandczyków, złotych i czarnych, wszystko było w porządku. Razem z nimi sarkalem na utrudnienia w podróżowaniu do Francji spowodowane napiętą sytuacją związaną z ostatnimi atakami terrorystycznymi. Ale podczas, gdy oni wszyscy otrzymywali wizy po paru dniach, ja na moją musiałem czekać ponad sześć tygodni. Gdy wreszcie przyszło do opłacenia u-pragnionego stempla, panowie w kasie długo coś liczyli po czym angielszczyzną zaprawioną silnym akcentem znad Sekwany oświadczyli:

— Płaci pan 36 funtów.

— Jak to? Przecież tam jest wywieszony cennik, a na nim jak byk stoi, że za roczną wizę płaci się 11, a ja dostałem tylko 3-miesięczną?

— No tak, ale pan jest z Polski.

— Więc co z tego?

— Mamy umowę z waszym rządem, że właśnie taką mamy pobierać opłatę. Sorry.

Dwie łopoczące flagi namalowane na burcie promu, a na nich napis „Townsend Thoresen”. Spoglądam na twarze płynących ze mną. Żadnej reakcji. Ano, co komu pisać. Dopiero na morzu, gdy troszeczkę zatrzęsło promem, ludzie spoglądają na siebie niepewnie. Nasz prom też jest jakimś tam „Free Enterprise”. Podobno właśnie on ustanowił rekord w przeprawie przez kanał — 56 minut z Dover do Calais. Bar obłożony. Drinki są zdecydowanie tańsze na statku niż w angielskich pubach, toteż nie ma się co dziwić, ani temu, że pasażerowie ochoczo korzystają z takich udogodnień, ani że po takich przeprawach na stadiony europejskie wylewają się tłumy młodych, pijanych Anglików, którym niekoniecznie kibikowanie drużynom piłkarskim jest w głowie.

ZEMSTA FRANCUSKIEGO CELNIKA

Znudzony oczekiwaniem na odprawę celną kierowca naszego autobusu nacisnął na gaz i ruszył we Francję. Dogał nas po stu metrach przeraźliwy gwizdek celnika i jego stanowcze, sceniczne wymachiwanie. Trudno mi orzec, co miał do wykrzyknięcia kierowcy, bo gotowało mu się w gardle, gdy wpadł do środka autobusu. Kierowca próbuje coś tłumaczyć, że skoro autobusy przed nami po 5-minutowej odprawie ruszyły w drogę, to i on myślał, etc., ale to nie trafia do przekonania celnikowi. Poprawia czapkę na głowie, przybiera marsowy wyraz twarzy, urażona godność służbisty wylewa się potokiem przemówienia skierowanego i do kierowcy, i do pasażerów. Przedstawienie się rozpoczęło. Wskazujący palec dotyka torby kierowcy. Ten oburzony do żywego traci kontrolę nad sobą i odpowiada barwnym językiem murzyńskiego Brixton. Łapie torbę za dwa rogi i wysypuje zawartość na podłogę, klnąc na czym świat stoi. Celnik ani spojrzny na rozrzucone po podłodze rzeczy, tylko jeszcze bardziej surowym tonem informuje, że zaraz przyjdzie tutaj szefowa i prosi otworzyć bagażniki autobusu. Kierowca szaleje. Francuz tymczasem zadowolony z efektu wdaje się w przyjacielską pogawędkę z siedzącymi na przednich siedzeniach pasażerami.

— Do diabła, czy on nie wie, że tylko pogarsza naszą sytuację — mruczy siedzący koło mnie czarny jak smoła Senegalczyk — on nie zna Francuzów. Myśli, że jest w Brixton, czy co?

— Czy ktoś z państwa ma coś do zadeklarowania? — pyta celnik pasażerów, gdy w drzwiach pojawia się „szefowa”. Wszyscy kręcą głowami przecząco, więc para posuwa się wzdłuż siedzeń i pytanie skierowane jest do każdego z osobna.

— Aaa, o la la. Vous etes polonais? — wykrzykuje nie wiadomo dlaczego z zachwytem celnik na widok mojego paszportu, po czym obwieszcza triumfalnie całemu autobusowi — Szeffowa! Tu jest Polak! A przecież pani dziadek był Polakiem!

Wiem, że w porcie Zerbbrugge. Mój polski paszport budzi sensację i zmusza mnie do dodatkowych wyjaśnień. Zemsta francuskiego celnika. Być w Paryżu i nie spacerować się po Champs Elysées?

Brali mnie za groźnego terrorystę

Celnicy już są w drzwiach zmierzając ku wyjściu, gdy nagle z letargu budzi się jedna z wiecznie uśmiechniętych Japonczek, które jak ptaszki poobśadyły kilka siedzeń za mną.

— Przepraszam, ale ja mam coś do ocalenia!

Celnicy jak lwy rzucają się do Japonczek.

— Alkohol? Papierosy?

— Nie, nie, ja wiozę za sobą dużo jaśminowej herbaty.

Machnięcie ręką rozczarowanych celników i salwa śmiechu wszystkich pasażerów bez względu na płeć, kolor skóry i rodzaj paszportu.

Autobusy z Wyspy dobiegają w Paryżu do dworca w Port de la Vilette, a napis: dworzec międzynarodowy — tak mniej więcej pasuje do tego baraczka, jak za przeproszeniem do dworca autobusowego w Mszanie Dolnej.

W PARYŻU

Ta dzielnica Paryża, przytulona do wielkiej obwodnicy okalającej miasto, za którą rozciąga się szpetny pas rejonu wielko-przemysłowego, była kiedyś paryską rzeźnią. Obecnie nie tylko traciła swój dawny charakter, ale staje się coraz częściej miejscem ważnych imprez kulturalnych i ośrodkiem naukowym. W XIX-wiecznym budynku dawnych rzeźni znalazły pomieszczenia różnego rodzaju wystawy, a w pobliskim Geode kino ze 180-stopniowym ekranem, który obraca się wokół widowni. Po drugiej stronie kanału de l'Ourcq, Zenith, w którym sześciotysięczna widownia może podziwiać koncerty rockowe.

Gdy przed kilku laty, po raz pierwszy przyjechałem do Londynu, byłem pod wrażeniem londyńskiego metra. Teraz wlecie się ono niemiłosiernie tak jakby i tutaj, pod ziemią korki hamowały ruch. Paryskie metro zachwyca rozmachem. Jest nie tylko bardzo szybkie, ale i przestronniejsze. Nie ma tu wąskich tuneli — postrachu cierpiących na klaustrofobie. Jest wprawdzie mniej kolorowe niż londyńskie, upstrzone licznymi plakatami, ale za to władze miasta pomyślały o wygodzie pasażerów i wzdłuż ścian ciągną się rzędy krzesełek, a nad głowami umieszczono monitory, na których wyświetla się reklamy, fragmenty filmów albo meczów piłkarskich. Nie ma zresztą dużo czasu na ich oglądanie, bo pociąg ze świstem podjeżdża i odjeżdża jeden za drugim. Kulawo funkcjonująca „Północna linia” w Londynie — mogłaby się wzorować na paryskim metrze.

— Musisz uważać, żeby nie postawić torby przy drzwiach — ostrzegła mnie Anna, która przez te kilka dni miała być moim paryskim przewodnikiem. — Na peronie stoją złodziejaszki i w drzwiach zamykają to oni błyskawicznie wyciągają z wagonu bagaż. To jest mistrzowskie opanowanie rzemiosła i niebezpieczne dla nich, bo drzwi zamykają się bardzo szybko, ale lepiej nie poznawać tego na własnej skórze. A do tego po 10 wieczorem metrem nie jeździ, bo może to być niebezpieczne.

— Nawet w centrum?

— Nawet w centrum.

Wprawdzie są takie stacje w Londynie, które lepiej jest omijać, ale ogólnie rzecz biorąc londyńskie metro jest bezpieczniejsze, a i bagaże można swobodnie ustawić przy drzwiach. W paryskim coraz to wlewa się i wylewa rozkrzyżowany, rozgadany tłum pasażerów; w londyńskim, milcząca procesja ludzi, którzy nawet w największym tłoku nie nastąpią sobie na odciski, nie mówiąc już o szturchnięciu pod zebra. Każdy się grzeźnie i milcząco posuwa w głąb wagonu, wyciąga z kieszeni gazetę, a książkę, czasami nakłada na uszy słuchawki walk-mana i milczy. W Paryżu wygląda na to, że czytelnictwo „metrowe” jest w ogóle niemodne, natomiast wsiadanie i wysiadanie przypominają polskie autobusy w godzinach szczytu. Częstym obrazkiem jest natomiast, rzecz nie do pomyślenia w Londynie, że kobiecie czy mężczyźnie z dzieckiem na ręku chętnie ustępuje się miejsca. Francja przez ostatnie lata cierpi poważnie na niewielki przyrost naturalny, toteż nie tylko dzieci otacza się specjalną opieką: żywność dla nich jest bardzo tania, ale także na ulicy czy w metrze widzi się ludzi uśmiechających się do rodziców z dziećmi, zagadujących maluchów, spoglądających na dzieci ciepło i z dziwnym rozzewnieniem.

— Być w Paryżu i nie spacerować się po Champs Elysées? — dopytywali się moi francuscy przyjaciele jeszcze w Londynie. — To niemożliwe. Wprawdzie coca-cola kosztuje tam 4 funty, ale to przecież najślimniejszy deptak świata i musisz go zobaczyć!

C.D.N.

Leonard: „Upiór”

(5)

Przez matowo oszlifowane drzwi nie dochodziło od wewnątrz żadne światło. Gdyby nie świeża czystość szyb, można by przypuszczać, że nikt tu nie mieszka. Przed wojną zdołała je okazać palma oraz mosiężna, zawsze wypolerowana tabliczka z nazwiskiem właściciela mieszkania, jego stopniem naukowym i tytułem służbowym. Palmy obecnie nie było, a miejsce tabliczki zakrywał skrawek białego z odrobiną napisanym imieniem i nazwiskiem pana Baraczewskiego.

Bor pamiętał te drzwi. Pierwszy raz stanął przed nimi jako uliczny gazeciarz; drugi — trzy lata temu jako gość najmłodszego z braci Katarzyny. Obawiał się wówczas, że pani Baraczewska, która zawsze dbała o dobór towarzystwa dla swoich dzieci, rozpozna go i zapyta, czy to on był tu przed laty z gazetami. Pani Baraczewska go nie rozpoznała. Przyglądała mu się uważnie, wypytywała dyskretnie o różne sprawy, ale z jej słów i zachowania nie wynikało, aby go rozpoznała. A może rozpoznała, tylko nie dała tego po sobie poznać? Obciążał płaszcz i zakreślił energicznie dzwonkiem.

W przedpokoju rozległy się kroki, potem ostrożne pytanie: — Kto tam?

Drzwi otworzyła Katarzyna. W pierwszym odruchu przestraszyła się munduru. Gdy rozpoznała Juliana, otworzyła drzwi na oścież i poprosiła go do środka.

Przyjęła go w milczeniu. Zmęczonymi oczami patrzyła, jak zdejmując płaszcz, jak przez roztargnienie chciał włożyć na mundur pas z pistoletem. Uśmiechnął się zakłopotany. Katarzyna spróbowała odpowiedzieć uśmiechem, ale jej blade usta ledwie się do tego złożyły. Czarna sukienka, takie same pończochy i buciki przydawały jej wyrazu tragicznego smutku. Julian nie mógł się obronić przed uczuciem współczucia za jej stan.

Gotowy do wejścia do pokoju czekał na zaproszenie. Katarzyna się ozywiła.

— Mam gości — powiedziała szybko. — Dlaczego przychodzisz tak późno?

Chciała powiedzieć coś jeszcze, ale w drzwiach do pokoju ukazała się matka. Splakany oczami musnęła Bora i podała mu rękę do ucałowania.

— Jest mi bardzo przykro...

Jej nieprzystępna godność zmroziła Bora. Prostując się zwał niechętnie podkute obcas butów. W martwej ciszy przedpokoju wydały odgłos podobny do salwy plutonu egzekucyjnego.

Weszli do środka. Pan domu, cierpiący na schorzenie stawów, z pomocą łaski podniósł się z fotela.

— Nie trzeba — uprzedził Bora. — Co się stało, to się nie odstanie, dosyć tego. Witam pana, panie Julianie, witam serdecznie. Pozwoli pan sobie przedstawić: pan redaktor Malicki.

Wysoki brunet obrzucił gościa przenikliwym spojrzeniem. Wymienili ukłony. Bor, stojąc u boku pana domu, z jego ręką na ramieniu, brunet — ze swego miejsca przy zasłoniętym oknie. Na tym poprzestali.

— Pan Julian, pomimo swego munduru... jest dobrym i godnym zaufania Polakiem. Ręczę za niego — dodał pan Baraczewski.

Brunet szarpnął głowę. Spód czarnych krzaczastych brwi patrzyły zwierzęco czujne oczy. „Nieprzyjemny typ — pomyślał Bor. — Co on tu robi?”

Pani domu zaoferowała napoje: kawę zbożową, herbatę ziołową, wodę. Bor najchętniej zostawiłby ich wszystkich i poszedł sobie. Pokój tonął w kwiatkach. Kredowo blade twarze gospodarzy, wiązanki czerwonych goździków i białych chryzantem przypominały kostnicę ementarną w chwilę po eksportacji zwłok. Na prowizorycznym ołtarzyku stał portret straconego syna Baraczewskich, przepasany czarną wstęgą. Poczuli suchość w ustach. Podzie-

kował jeszcze raz i sztywny siadł na kanapie. Ciszę przerwało wejście Katarzyny z napojami. Spojrzenia wszystkich skupiły się na niej. Przed redaktorem postawiła filiżankę kawy, z herbatą podeszła do Bora. Bezwiednie odmówił ruchem ręki.

— Katarzyna ma rację — odezwała się jej matka. — Tu rzeczywiście nie jest ciepło, proszę wypić.

— Tak, tak — poparł żonę pan domu. — Szklanka czegoś gorącego, nawet tak wstępnego jak to wino, które nam przydzieliła, dobrze panu zrobi. — Oparł na rękojeści łaski swoje szczupłe dłonie obciążone przejrzyście skórą i czekał, dopóki Bor nie osłodził herbaty. — Mielimy nadzieję, że pan odwiedzi nas znacznie wcześniej. Czy wolno zapytać, jak długo pozostanie pan jeszcze w kraju?

— Już niedługo, proszę pana. Jutro kończy mi się urlop i wracam do jednostki.

— Już jutro! — zawołała Katarzyna.

— Pan Julian powinien i tak dziękować Bogu, że spędził w domu aż dwa tygodnie — wtrąciła sucho jej matka.

Nim znowu zamknęła się w swoim bolesnym zasklepieniu, spojrziała przez moment na oznaczenia bojowe Bora. Szybko przeniosła z

Rodzinny dom

nich oczy na tacę pozostawioną na stole. Katarzyna drgnęła niezdeterminowana.

— Zostaw to, dziecko — powstrzymał ją ojciec. — A więc już jutro — powrócił do Bora. — Już jutro. A wie pan — ozywił się naraz — to nawet dobrze, że przyszedł pan akurat dziś. Tak, tak — upewniał się — to bardzo dobrze, nie sądzi pan, panie redaktorze?

Nie biorąc udziału w rozmowie brunet spojrział z zainteresowaniem.

— A tak — ciągnął pan Baraczewski — bo mamy sprawę, w której, być może, znajdziemy dla pana rolę. Ale poczekajmy na syna, powinien wrócić lada moment. Chyba poczekamy, nie sądzi pan? — zwrócił się znowu do bruneta, który patrzył na Bora z coraz większym zainteresowaniem.

„Jaką rolę szykują dla mnie — zastanawiał się Bor — skoro przyszedłem nie zapowiedziany. I co z tym wspólnego może mieć ten czarny, niesympatyczny typ stojący przy oknie jak na warcie. Wypatruję zaścienia księżycy, na dejsiecia plag egipskich, końca świata? Ponury typ. „Straceńczy”. Bramę domu oblepiało obwieszczenie o przeprowadzonej egzekucji. Nazwisko syna Baraczewskich, Jakuba, otwierało długą kolumnę powieszonych mężczyzn — dom musi być z pewnością pod obserwacją gestapo.”

Pan Baraczewski jakby odgadł jego myśli. Uśmiechnął się przyjaźnie. „Spokojnie, młody człowieku — zdawał się mówić — tylko spokojnie. Jeśli pan jest prawdziwym przyjacielem naszego nieszczęśliwego syna, jest pan mu winien dożgonną solidarność. Reszta jest bez znaczenia”.

Bor przestał dla niego właściwie istnieć. Wojna nie zabiła w nim nawyku rządzenia. Zawęzła wprawdzie obszar jego władzy do grona najbliższej rodziny, ale nie odebrała mu uprawnień patriarchy. Jego małżonka rozumiała go bez słów. Wystarczyło jedno spojrzenie, aby wstał i skierował się do wyjścia. Wycho-dząc skinęła na Katarzynę.

Wszystko kładło się na Bora jak ciężki, nie-realny sen. Otaczało go morze kleistej mazi. Wylewającej się z dostojnego pana Baraczewskiego i jego małżonki, ze świec i lampek o-

świetlających bojaźliwie podobiznę straconego Jakuba, nawet z Katarzyny. Ale teraz cały ten ocean zawirował.

— Ponieważ jutro wraca pan do jednostki, przystąpię do rzeczy — oświadczył najstarszy syn państwa Baraczewskich, Michał, ze stanowczością dowódcy wojskowego, który podjął jedynie słuszną decyzję! — Mam dla pana zaszczytną propozycję...

— Dotyczącą czego? — spytał ostrożnie Bor.

— Udziału w pewnej akcji.

— W jakiej akcji?

— Patriotycznej.

Bor zerknął na posępnego bruneta czatującego przy uchylonych zasłonach, na wyprostowanego w fotelu jak na moment przed rozstrzelaniem pana domu.

— Co to za akcja? — usłyszał swój cichy, ledwie dosłyszalny głos.

Pan Michał rozumiał jego obawy.

— Dalszą rozmowę uzależniłem od pańskiej odpowiedzi na pytanie — co prawda drażliwe, lecz w tym przypadku nieodzowne. Słyszeliśmy o pańskim dzielnym ojcu, nie wątpimy w pana, odpowiedź jest jednak konieczna. Czy pan czuje się Polakiem?

— Michał! — zaprotestowała Katarzyna, któ-

ra nie usłuchała matki i stojąc przy drzwiach przysłuchiwała się rozmowie.

Bor chwycił za rękę.

— Najpierw panowie proponują mi udział w jakiejś akcji, a dopiero potem zadają takie pytanie... O jaką akcję chodzi i na czym mój udział ma polegać? Jak panom wiadomo, jutro wyjeżdżam.

— To właśnie decyduje o pańskiej wyjątkowej przydatności dla naszego przedsiębiorstwa — oświadczył z ulgą Michał.

Jego napięta twarz rozpuściła się, oczekiwiał większych trudności. Ale ojciec okazał się tym razem lepszym psychologiem. Przystąpił do części najtrudniejszej.

— Morderstwo dokonane na niewinnej ludności miało wymagać kontrakcji. Tulejsza organizacja podziemia podjęła decyzję wzięcia odwetu. W tym celu wysłano inicjatorów i głównych wykonawców akcji osaczenia kościoła. Wywiad organizacji ustalił, że inicjatorem był szef Prezydium Policji major Schnaber, jej wykonaniem kierował szef gestapo sturmbannführer Leiding, który również wydał rozkaz egzekucji Polaków. Na podstawie niezbitych dowodów ich winy sąd organizacji skazał obydwu na karę śmierci. O warunkach i czasie wykonania wyroku decydują szef Sekcji Wywiadu organizacji wspólnie z szefem Sekcji Likwidacyjnej. Sturmbannführer Leiding znajduje się chwilowo w Berlinie, w związku z czym wyrok na nim zostanie wykonany w terminie późniejszym. Natomiast major Schnaber dzisiaj wieczorem ma dokonać inspekcji rewiru IV, a następnie będzie przyjęty w mieszkaniu prywatnym komendanta rewiru, polizeimeistra Emmericha. Na podstawie przedstawionych panu danych szef Sekcji Likwidacyjnej organizacji, obecny tutaj pan kapitan Malicki, podjął decyzję wykonania wyroku na majorze Schnaberze dziś. W związku z tym nasza propozycja: wyrok wykona pan.

— Składają się na to dwie przyczyny — przejął głos szef Sekcji Likwidacyjnej ze swego stanowiska obserwacyjnego przy oknie. — Po pierwsze: jest pan żołnierzem niemieckim i posiada nieograniczoną swobodę poruszania się po godzinach policyjnych; drugie —

już jutro opuszcza pan miasto. Poza tym pańska ewentualnie stwierdzona obecność w pobliżu miejsca zamachu nie wzbudzi niczych podejrzeń.

— Organizacja zapewni panu niezbędną osłonę — dodał pan Michał, który przewidział i tę potrzebę.

— A mojej rodzinie? — spytał Bor. Nie przepraszałem gospodarzy zgasił światło, odsunął zasłonę z okna i wpatrzył się w ciemną ulicę. — Czy panowie są pewni, że dom nie znajduje się pod obserwacją?

Szef Sekcji Likwidacyjnej nie próbował ukryć swego zaskoczenia.

— A kto z Polaków ma dzisiaj tę pewność?

— „To prawda” — pomyślał Bor stwierdzając z zażenowaniem, jak bardzo oddalił się od rzeczywistości panującego w jego własnym kraju. Ale każde słowo, jakie mu się cisnęło na usta, godziło jednakowo ostro w napięte twarze państwa Baraczewskich i szefa Sekcji Likwidacyjnej organizacji, która walczyła — to nie podlegało kwestii — choć w tym konkretnym przypadku nie zgadzał się z motywami walki. Na końcu języka miał pytanie — bezczelność: Czy, gdyby nie śmierć Jakuba, państwo Baraczewscy zajęliby taką samą postawę? I drugie, kierowane do pana Michała, z pewnością wyższego oficera tej organizacji: czy wolno uderzać w przeciwnika narażając wszystkich na stracenie? Jakuba już nic nie wskrzesi, ale co stanie się z domownikami? Z tysiącami kobiet przetrzymywanych w fortach? Czy taki lotrzyk, Schnaber, wart jest tej ceny?

— Pewności tej nie ma dziś nikt — przyznał. — Przepraszam za pytanie. Ale nauczono mnie pewnych zasad walki. Obowiązujących każdego walczącego na froncie czy na tyłach, obojętnie. Jeżeli dom ten jest lub może być pod obserwacją przeciwnika tak bezwzględniego jak gestapo, to jak można urządzić tu takie spotkanie. Przecież tu są kobiety!

Kapitan Malicki zmarszczył krzaczaste brwi. — Coraz mniej pana rozumiem — powiedział z namysłem. — A właściwie... — zaciągnął zasłonę i zapalił światło — tak, rozumiem. Aż nadto dobrze. Jest pan sprostegawczy: tu rzeczywiście są kobiety...

— Dostę tegol — odezwała się sucho pani Baraczewska. — Proszę się nam nie zasłaniać! — Pełna godności matki wywołanej z przyziemnych obaw, stanęła solidarnie u boku swego najstarszego syna.

Ona jedna poznała się na tym człowieku. Uliczny gazeciarz! Rozpoznała go od razu, ale zachowała to dla siebie. Jeżeli człowiek ten nie został przez ulicę spaczony — tak dyktowały rozsądek i chrześcijańska zasada miłości bliźniego — nie należało, tylko ze względu na różnice społeczne, odcinać go od uszlachetniającego towarzystwa jej dzieci. Miałoby być inaczej — czas niechybnie to wykaże, a Bóg podsunie rozwiązanie. Jednak w głębi ducha nie ufała mu od pierwszej rozmowy. Człowiek, który dogmaty wiary katolickiej poddaje namysłowi, jest człowiekiem słabym. A człowiek słaby to tchórz.

Z uczuciem narastającego wstrętu wysłuchiwała jego wykrętów. „Kobiety...” „Nie przemysłana walka...” Taki prostak!

Spojrzała dumnie na drzwi, gdzie stała zrozpaczona Katarzyna.

— Moje dziecko — zawołała — przepuść tego pana!

**Związek Socjalistycznej
Młodzieży Polskiej**
**BIURO TURYSTYKI
MŁODZIEŻOWEJ
„JUWENTUR”**

w Łodzi, ul. Stary Rynek 2, tel. 55-39-87

O F E R U J E

sprzedaż miejsc wczasowych w Ustce w II połowie czerwca. Cena skierowania: 17.000 zł, oraz w miejscowości Bukowina Tatrzańska w miesiącu sierpniu, cena skierowania ok. 21.000 zł.

1248 k

**ZWIĄZEK SOCJALISTYCZNEJ
MŁODZIEŻY POLSKIEJ**
BIURO TURYSTYKI MŁODZIEŻOWEJ „JUWENTUR”

w Ł O D Z I

I N F O R M U J E

że z dniem 1987.05.08 nastąpiła zmiana połączeń telefonicznych w naszym biurze:

dyrektor naczelny
zastępca dyrektora
główny księgowy
sekretariat
mają następujące numery: 55-39-42 i 36-67-67.

wydział turystyki krajowej
wydział turystyki przyjazdowej
mają numer: 55-39-87,

wydział turystyki wyjazdowej
ma numer: 57-69-87.

Informujemy również, iż z dniem 1987.05.08. nie ma połączeń wewnetrznych w naszym biurze.

2904 k

KTO ODPOWIE NA PYTANIE?



Foto: Grzegorz Galasiński

ZACZYNA SIE FESTIWALLAND

ZIELONA LINIA NA OKECIU

RYBY PROSTO Z MORZA

KTO TO JEST A. KRAJOWA?

CZY NASZE MUSI ZNACZYĆ NICZYJE?

SKARBY NA ŠMIETNIKU

P. TRELINEK

1 Lewym okiem

Tylko dla niepalących

Jakże przy tym boleśnie, tragicznie boleśnie wygląda codzienna rzeczywistość, kiedy tysiące ludzi ginie dlatego, że komuś nie chce się podjąć najprostszej, prawie nic nie kosztującej czynności, kiedy z błahych, formalnych powodów zatrząskuje się brama szpitala przed ciężko chorym człowiekiem, kiedy brak najprostszych nawet leków powoduje nieodwracalną katastrofę. Nie mogę zapomnieć sanitariusza w pewnym szpitalu, wlokącego w żółtym tempie butlę z tlenem przez długi korytarz do końca

WŁODZIMIERZ
KRZEMIŃSKI

2 Nagle zastępstwo

Gdzie pracuje Kowalski?

Zatelefonował do naszej redakcji Czytelnik (przy okazji — dziękuję za telefon i podziękowanie mi tematu), któremu Piotrkowska Fabryka Mebli zorganizowała czas w godzinach pracy. Otóż zasłużony ten dział społeczeństwa socjalistycznego — samorządny i samofinansujący

bo się po meczu z Grecją nie-

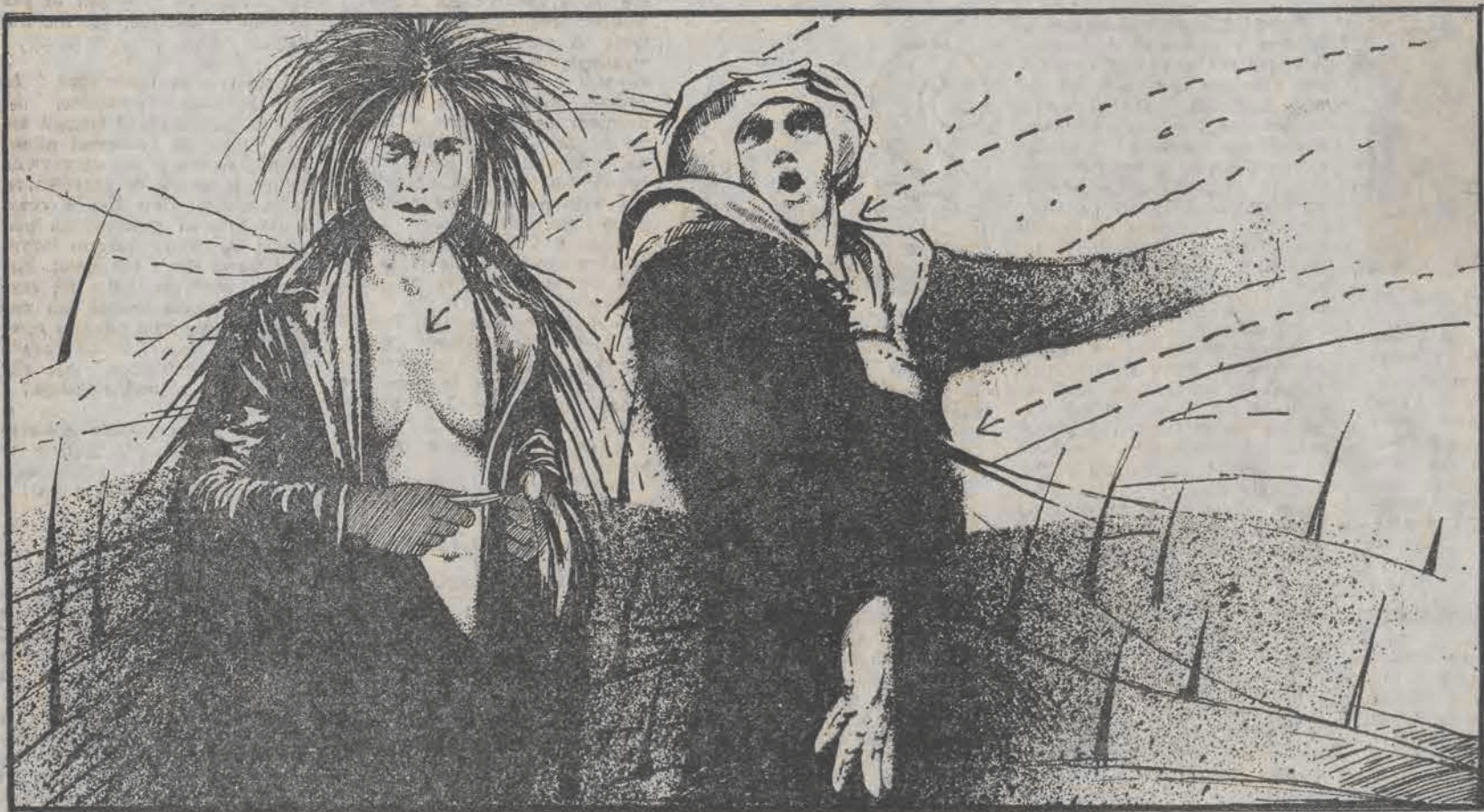
100

ODGŁOSY 15

Sodoma

JACEK KRAKOWSKI

(13)



Rys. Janusz Szymański-Glane

Mężczyźni rycieli, drąc na sobie koszule, kobiety piszczały, zadzierając sukienki, starcy mdleli w wózkach inwalidzkich, dzieci na rękach lały pod siebie, a młodzież oddawała się samogwałtowi. Smok z piskiem hamulców zatrzymał się niedaleko nas. Mieszkańcy Sodomy rzucili się ku niemu z wiązkami kwiatów, lecz policjanci otaczający pojazd nie pozwolili, aby ktokolwiek wspiął się na pokryta kołkami i łuskami skórę smoka. Atanazja przyłożyła dłoń do ust i przesłała zgromadzonemu serdeczny pocałunek, będący jakby znakiem do ucieszenia się. Ludu, mój ludu, zawołała Atanazja, pewnie czekasz cudu!

Tak, tak, rozległy się zewsząd pełne nadziei głosy.

Atanazja ubrana w szkarłatną suknię przyozdobioną perłami i rubinami uniosła w górę złoty kielich i zawołała:

A więc piję twoje zdrowie!
Wzajemnie, wzajemnie, krzyknęli zebrani, obejmując się i całując.

Nas także przycisnęło do siebie dwóch mężczyzn, obślizniętych śmierdzącymi alkoholami pocałunkami i weiskając dłoń między uda.

Korzystając z zamieszania, które wywołało ponowne wystrzelenie sztucznych ogni i ruszenie smoka, wymachującego potężnym ogonem, spod którego strzylał strumień tanich perfum, przepychaliśmy się plecami przez zbitą szpaler mieszkalców Sodomy, próbując wydostać się z tłumu. Wreszcie udało nam się przepchnąć i wpadliśmy do jakiejś bramy, zatraskując za sobą drzwi.

Odór moczunosci unosił się w powietrzu. Z przyległej klatki schodowej dobiegały nas stłumione chichoty raz po raz przerywane wybuchami śmiechu i spieszonym posapływaniem. Małe okienko w murze uchyliło się i dłoń z wymalowanymi na srebrno-paznokciami położyła na małym parapecie dwa bilety, po czym zniknęła w głąb muru. Przez dwa skrawki papieru biegł ukosnie fioletowymi literami napis „Gratias”, pod którym drukowany tekst informował, że „kabaré czynny całą dobę, pierwsze piętro, pukać trzy razy”.

Wchodziliśmy po brudnych schodach, mijając po drodze oparte o ścianę ciasno splecione ze sobą pary. Kobiety, podciągawszy w górę krótkie spódniczki, przyciskały do siebie mężczyzn. Zapukaliśmy trzykrotnie do oszklonych drzwi, jednak nikt nie otwierał. Laurenty nacisnął klamkę i weszliśmy do środka.

Pomieszczenie opadało w dół rzędami amfiteatralnie ustawionych kanap i foteli, na których kłębiły się roznegliżowane, spoczone ciała. Schodziliśmy stopniami w dół ku estradzie, zmuszeni raz po raz uwalniać się od rąk chwytających nas za nogi i poślaki. Cała sala pogrążona była w błękitnym półmroku, tylko podium w dole oświetlone jaszkrawożółtym światłem kilku reflektorów zdawało się wypływać ku nam z oparów aromatycznego dymu, niosąc kilkusetosobową orkiestrę i Felixę wyginającą się przy mikrofonie. Spiewała cicho i niewyraźnie, zagłuszana przez wrzaskliwe i fałszywe dźwięki trąbek.

Hallo, zawołała, przestając kręcić tyłkiem, zawsze musicie się wszędzie spóźnić? Szkoda, że nie widzieliście mnie w poprzednim numerze. Jako gwizdka-pizdka Felixa de Maitre byłam wprost fenomenalna. Teraz trochę straciłam głos.

Zakasała kilka razy i zaczęła śpiewać:

Mam chłopaka,
co rucha na stojaka...

Zakrzuciła się i machnęła ręką:
Nic z tego. Chodźcie ze mną do garderoby. Porozmawiamy sobie poważnie.

Wskoczyliśmy na estradę i przeszliśmy w stronę kurtyny, za którą zniknęła Felixa. Orkiestra grała tango niemożliwie fałszywie i raz po raz myłać rytm.

Zaraz za sceną biegł korytarz, w którym unosił się zapach gotowanej kapusty. Zarówki świecące blade pod sufitem, ukazywały odbrapanie ścian pełne zacieków, polamane krzesła, zlew z ciekącym kranem, otwartą ubikację. Dwoje brudnych dzieci przebiegło obok nas klaszcząc bosymi stopami o posadzkę. Ty cholero, jak ci dam w mordę, to cię rodzona matka nie pozna, usłyszeliśmy krzyk zza wpół domkniętych drzwi i szcęk tłuczonych talerzy. Poszliśmy wzdłuż korytarza, zaglądając do otwartych mieszkań i pytając o garderobę Felixy.

Dziewczyna w szlafroku, gotująca obiad na dyndziej kuchni, tylko wzruszyła ramionami, mężczyzna leżący na kanapie, wystawiający w naszą stronę stopy w dziurawych skarpetkach, nie przestał nawet czytać gazety, dzieci wypychały brudne palce do buzi, staruszka siedząca na wózku inwalidzkim odjechała w głąb mieszkania. Otwieraliśmy także zamknięte drzwi opatrzone białymi, owalnymi tabliczkami z zatartymi numerami. W jednym z pokoi leżała na podłodze maciora karmiąc z tuzin warchlaków, w innym potargana kobieta wycierała kurz z kredensu i na nasz widok cisnęła wazonem, w następnym pomieszczeniu lekarz przyjmował poród od pacjentki leżącej na stole... Obok nas przeszła ruda kocica niosąc w pysku małego kota. Potykając się o garnki i stołki poniewierające się po korytarzu, szliśmy dalej pioszcząc przyzające szczerzy, które z piskiem przebiegały obok naszych nóg nękane w uchyłonych drzwiach. Skądś dobiegał płacz i zawodzenie. Przystanęliśmy pod ścianą, ustępując miejsca czterem czarno ubranym mężczyznom niosącym otwartą trumnę z wielkim, kudłaty psem, leżącym do góry brzuchem na koronkowej koidrze. Za nimi biegło kilka kundli wyjąc przeraźliwie. Kondukt wyminął nas, posuwając się powoli w głąb korytarza.

Wynosił mi się stąd, ty stara kurwo, usłyszeliśmy nagle wrzask, otworzyły się najbliższe drzwi i wypadła z nich Felixa w kusej czarnej halce. Zakreśliła się na pięcie i wbiegła do mieszkania naprzeciwko, z którego dochodziło donośne łkanie. Zza następnych drzwi wychyliła się wyzywająco wymalowana twarz Aurory Borealis.

Szybciej, szybciej, zawołała. Właśnie się zaczyna.

Wbiegliśmy do jej pokoju, a Aurora pociągnęła nas w stronę niewielkiego balkonu. Pod nami przebiegała nie aleja wysadzana lipami, lecz ulica biegnąca prawdopodobnie z drugiej strony domu, brudna i śmierdząca, pełna ruszających właśnie czarno-szarych samochodów.

Parada policyjności i wojskowości, zawołała Aurora. Przybyliście w samą porę.

Machała obiema rękami, przesyłała pocałunki i zaciskała kolana, poruszając biodrami. Po obu stronach uliczki, wzdłuż której biegł rząd obdrapanych kamienic, zebrało się kilkoro obszarpanych i usmarkanych dzieci, które z otwartymi buziami przypatrywały się, jak dwa rzędy opancerzonych samochodów przejeżdżają przez wypływający z podwórka potok nieczystości, rozpryskując je naokoło. Aurora wyjęła z kieszeni fartucha garść landrynek i cisnęła je dziećmiom, które rzuciły się łapczywie na cukierki, wygrzebując je z błota ulicy.

„Z Witkacym łączy Jacka Krakowskiego skłonność do filozofowania na własny rachunek i chyba równie mało nabożny stosunek do akademickich i w ogóle oficjalnych filozofii. (...) Witkiewicza stać na gwałt, karykaturę i sadyzm w stosunku do intelektualnego języka (...) W SODOMIE parodiuje się filozoficzną oficjalność, nie naruszając w niczym założeń językowej intelektualności powszechnego użytku, konfrontując ją zewnętrznym bądź z niskim językiem wulgarnym, bądź z wysokim językiem natchnionym”.

Są jak małe psiki, rzekła, jedzą byle co, a rosną jak na drożdżach.

Potrują się od tego świństwa, rzekł Laurenty.

A niech tam — machnęła ręką — narobi się nowych i w porządku. Może będzie coś przegryzli.

Dokąd oni jadą, spytał Sylwester. Tyłe policj... Czy w mieście są jakieś rozruchy?

Mogą być, odparła obojętnie Aurora, krztając się wokół stołu i usuwając z niego talerze pełne zatechtych resztek jedzenia. A może jadą na bal do Lancelota... Kto ich tam wie. Są to informacje nadzwyczaj poufne i nie powinniście wypytywać mnie o takie rzeczy. Nie widzieliście czasem Atanazji? Miała dzisiaj do mnie przyjść z wizytą.

Widzieliśmy Atanazję, odparł Sylwester, jechała na smoku.

To mi babka z fantazją, klasnęła w rękę Aurora. Zawsze miała trochę przewrócone w głowie, ale na wyobraźni nigdy nie zbywało. Za to ją właśnie lubię. Dzięwię się tylko Lancelotowi, że uparł się, abym została jego kochanką. W końcu jestem tylko podrzędną krawcową, a w dodatku mam bardzo małą cipkę. A propos wybieracie się na bal?

Dostaliśmy zaproszenia, odrzekł Laurenty.

No to czemu tu jeszcze sterczycie, krzyknęła, otwierając szafę pełną sukienek. Ja też idę, tylko nie mogę się jeszcze zdecydować, w co się ubrać. Chyba nie będziecie mnie podglądać, co? Gdyby Lancelot dowiedział się o tym, główki by wam pourywał.

Chcieliśmy już dawno wyjść z tego domu, rzekł Sylwester, ale nie mogliśmy...

Och, z wami to tak zawsze. Ciągłe się gdzieś płaczące. Zupełnie niepotrzebnie. Nikt was nie chce i nikt od was niczego nie potrzebuje. Doprawdy, moglibyście nie być aż tak nachałni. Proszę — otworzyła drugie skrzydło drzwi szafy — tu jest wyjście. I nie zawracajcie mi więcej głowy. Człowiek jest taki zagoniony, że nie wie, gdzie ręce włożyć, a tu przychodzi takich dwóch i marudzą przez godzinę. Jazda, pośpieszcie się!

Za drzwiami szafy otwierał się wąski korytarzyk i ciasna, podobna do studni klatka schodowa, w której stopnia spirala opadały żelazne stopnie. Zbiegliśmy po nich, wychodząc na podwórze w pobliżu śmietnika. Na stoście odpadków leżała rozkraczona kobieta przytrzymywana przez czterech żołnierzy za ręce i nogi, a piąty gwałcił ją, wpolesząc na niej i przytrzymując się rękami puszek na śmieci. Kobieta wrzeszczała, lecz żaden z mieszkańców, licznie zebranych wokół śmietnika, nie próbował jej pomóc. Po chwili żołnierz stęknął kilka razy, wstał, zapiał rozporek, ujął kobietę za nogę, podczas gdy ten, który ją trzymał, już rozpinał spodnie. Wsunął się między nogi kobiety, która ponownie zaczęła wć się i wrzeszczeć.

Mocniej, mocniej, krzyknęła kobieta, bo nic nie czuje. Poskarżę się waszemu dowódcy!

Ludzie zaczęli rzucać w ich kierunku monetami, klaszcząc i śmiejąc się, a trzymającą kobietę żołnierze zdjęli czapki, usiłując złapać lecając w ich kierunku monety.

Wyszliśmy na niewielki prostokątny plac, nad którym górował ciemny masyw budynku przypominającego świątynię, zwieńczonego gigantyczną kopułą. Szare mury podświetlone licznymi reflektorami zdawały się płynąć w mrocznym, nasyconym mgłą powietrzu, tłumiąc w swych porowatych powierzchniach opar błękitnego światła. Przy wejściu, do którego wiodły wysokie, do polsku wydeptane schody migotał

tłum ludzi wchodzących przez dwie bramy zakończone łukami, nad którymi zwisały się jakieś trudne do odcyfrowania znaki kute w kamieniu. Przechodnie mijali nas obojętnie, ciasno owijając się kolorowymi opończami, rozwiewanymi przez wzmagający się wiatr.

Wmieszaliśmy się w tłum ciągnący w kierunku świątyni, przebyliśmy kilkadziesiąt kamiennych stopni i znaleźliśmy się w przedsionku, w którym mieszkańcy Sodomy zrzucali z siebie płaszcze. Opończe pętrały się w beładnych stertach po obu stronach wejścia, a oni nadzy znikali w głąb zlejącej chłodem hali. Zdejmaliśmy z siebie płaszcze Xenii i Felixy i popychani przez napierających ludzi weszliśmy do wnętrza przesyconego gorzkim zapachem kadzidel.

Nazwaliśmy ten budynek „świątynią”, lecz równie dobrze mógłby to być dworzec kolejowy lub łaźnia. To ostatnie określenie byłoby chyba najwłaściwsze z uwagi na nagłe ciała polyskujące przez mlecznosną mgłę. Jedni śladali na ławkach poustawianych pod ścianami, drudzy przechadzali się po troje, po pięć, po mocno spleceni ze sobą, jeszcze inni dążyli ku centrum ogromnego okręgu, skąd dobywał się pomarańczowy, ruchliwy blask. Poszliśmy w tym kierunku, stąpając bosymi stopami po klepsku podłogi, otoczeni gwarem głosów zwielokrotnionych przez echo niosące się z kopuły, na wpół odurzeni dymem anulującym się błękitnymi pasmami w gorącym, jakby spoconym powietrzu.

Półmrok rozjaśniał się stopniowo, jakby niechętnie, a my poruszając się w gęstej mgłę kadzidel, przeszliśmy poza ścianę dymu zatrzymanego i porwanego przez kurtynę chłodnego powietrza, bijącego spod naszych stóp poprzez wąskie szczeliny w kamieniach. Obmył tym podziemnym oddechem, znaleźliśmy się przed wodospadami, które ze świergotliwym szumem spadały z niewidzialnej wysokości. Podeszliśmy bliżej. Po szklanych kolumnach, tworzących okrąg ginały w ciemności, spływała woda, a ognisko płonące pośrodku na kopcu ziemi rozświetlało kaskady spadające z pluskiem do okrągłego basenu. Raz po raz wskakiwali do niego nadzy ludzie, kopulowali w płytkiej wodzie, po czym podchodzili do postad stojącej przed ogniskiem. Ta wręczała im coś, po czym oni, skłoniwszy się jej głęboko, odchodzili, kryjąc się za kopcem ziemi.

To Xenia, szepnął Laurenty, ma na sobie błękitną suknię.

Możliwe, odparł Sylwester, ale w blasku tego ognia trudno cokolwiek dostrzec.

Hej, chłopcy, usłyszeliśmy głos Xenii, chodźcie tu do mnie bliżej, zaraz skończę.

Brnąc w sięgającej do kolan wodzie podeszliśmy do kopca ziemi i ustawiliśmy się za dwiema parami, oczekującymi na swoją kolejność. Teraz dopiero spostrzegliśmy, że Xenia wydaje im jakieś kwity czy legitymacje, które podpisuje zamazyście gęsim piórem. Za nami kilka osób ustawiło się już w kolejce. Kiedy podeszliśmy do Xenii, ta chciała nas odciągnąć na bok, lecz ludzie stojący za nami zaczęli protestować.

Nie ma po znajomości, zawołał jakiś otępy facet. Niech uczciwie popierdola. Od nas to wymaga się nie wiadomo czego.

Właśnie, właśnie, wsparł go kobiecy głos. Ja to musiałam specjalnie zwolnić się z pracy, a taki jeden z drugim pcha się na chams.

Oni są cudzoziemcami, próbowała uspokoić Felixa ludzi stojących w kolejce. Przybyli tylko we dwoje.

Niech się wala w we dwoje, odezwał się inny głos. Był szybki. Wszyskim się spieszy!

Ale oni nie przyszli po zaświadczenie, wyjaśniła Xenia.

Znamy to, znamy, odezwał się zwalisty mężczyzna, stojący obok nas. Potem się wyda lewy papierek i po krzyku.

Odwrociliśmy się, próbując wytłumaczyć tym ludziom, że nie jesteśmy petentami, lecz oni zakrzyknęli nas, przytrzymując i grożąc kastracją, jeżeli natychmiast nie dokonamy aktu między sobą.

Xenii, wstaw się za nami, wołaliśmy, próbując się wyrwać z uścisku nagich ciał.

Co ja wam mogę pomóc, moi drodzy, odrzekła. Ja wydaję tylko zaświadczenia, dotyczące przydatności prawdziwego człowieka do życia w społeczeństwie. Każdy chce być prawdziwym człowiekiem, stąd ten nacisk...

Każdy, każdy, odezwali się głosy. Bez znajomości!

Musicie to zrobić, rzekła Xenia, inaczej was nie puszcza. Trzeba się trochę poświęcić, żeby zostać prawdziwym człowiekiem.

Trzeba, trzeba, zawołał przytrzymujący nas ludzie.

Szybkiej tam, odezwali się ci, którzy stali na końcu kolejki. To cholera, jak to się guzdrze z tymi papierkami!

Pospieszcie się, rzekła Xenia, inaczej nigdy nie zdążycie na ten bal. Mogą na waleta, zwróciła się do zniecierpliwionych Sodomian.

Moga, moga, było szybciej, odkrzyknęli.

Chociaż próbowaliśmy stawiać opór przewrócili nas na ziemię i zmusili nas do tego pod groźbą oberwania jader. Wszyscy otoczyli nas kołem, onagając i śmiejąc się, gdy nagle rozległo się potężne, ciężkie uderzenie dzwonu.

Sodomianie zamarli i po chwili rzucili się z placem na ziemię. Ognisko przyszło.

Czarna Godzina wybiła, rzekła Xenia, możecie nie kończyć. Ja także skończyłam już urzędowanie.

Jęk i płacz rozlegał się po całej „łaźni”, przez którą przechodziliśmy prowadzeni przez Xenię. Ludzie kłęczeli jeden przy drugim i opierając się łokciami o podłogę wypinali siedzenia do góry.

Chcą oddać się Złemu Duchowi, aby odwrócić jego uwagę od Istoty Rzeczy, poinformowała nas Xenia. Ale to zwykle niewiele pomaga.

Czy to jest jakiś kościół, spytał Laurenty.

Świątynia Przeznaczenia, odrzekła Xenia, klęcząc między wypiętymi pośladkami. Nikt nigdy nie wie, co go tutaj może spotkać, jednak jest pewne, że przemaczenie w końcu go osiągnie.

C.D.N.